

ODRY

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok III

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 12 stycznia 1947.

Nr 2 (59)

Marian Smereka

Śląskie „rupiecie” i słucki pas

Perspektywa z górą wieku, z jakiej można dzisiaj spojrzeć na pyszną gawędę Henryka Rzewuskiego pt. „Pamiętki Soplicy”, pozwala należycie ocenić wartość kompozycyjną tego utworu, jak i opatrzyć bliższym komentarzem poglądy i stanowisko szlachcica z drugiej połowy osiemnastego stulecia, tak wiernie przez twórcę nowego typu polskiego romansu przedstawione.

Wśród wielu wyłaniających się w tej opowieści problemów, dzisiejszego Ślązaka może zająć szczególnie urywek rozdziału zatytułowanego „Stanisław Rzewuski”, w którym Soplica opowiada o swoim pobycie w miejscowości o niecałą milę od Namysłowa, miasta powiatowego, leżącego na wschód od Wrocławia.

Namysłów rozsiadł się od wieków w północno-wschodniej stronie za t. zw. przesieką, za zwałem pni i ostrokołów przebiegających kiedyś przez puszcze, która dzieliła Śląsk Górny od Średniego, gdy bezleśne okolice wschodnie obydwo krainom pozwały długi czas po oderwaniu Śląska od Macierzy wiązać się z ziemią krakowską i południowymi terytoriami Wielkopolski. Skoro w 1816 roku Lompa stwierdza żywotność języka polskiego w okolicach Namysłowa, to w czasach przedstawionych przez Rzewuskiego musiał on dominować jeszcze nad niemiecką. Z historii znanym jest fakt, że Namysłów wśród innych miast służył Wrocławczykowi jako okup, gdy stryj jego Głogowczyk schwytał podstępnie więził go w klatce przez pół roku. W okolicach Namysłowa skupił się ruch reformacyjny XVI wieku, a w 1577 roku Konrad Negius z Namysłowa pisze po polsku „Contiones in Evangelia Dominicalia”.

Jak liczni pamiętnikarze siedemnastego wieku z Medekszą, Jerliczem, Ossolińskim i Paskiem na czele odczuli całą odrębność swojej osobistej, narodowej kultury w zetknięciu ze środowiskami sobie nieznanymi, tak Soplica czuje się obco w otoczeniu wyższym od siebie pod wielu względami i dalekim przez swoistą i inną zupełnie formę współżycia towarzyskiego. Oczywiście obiektywizm Rzewuskiego podkreślony przez wydawców i historyków literatury zachwiał się, kiedy przyszło mówić pisarzo- wi o wartości kultury szlacheckiej, zacofanej w porównaniu z kulturą mieszkańców Śląska. Autor jakby solidaryzował się z zdaniem fikcyjnego pamiętnikarza, z którego prototypem zetknął się na platformie towarzyskiej w Krakowie kilkanaście lat przed napisaniem „Pamiętek”. Ani cienia satyrycznego tonu, jaki mógłby wytworzyć dystans między „gawędziarzem” i zdeklasowanym hrabią, któremu w braku innych zajęć przyszło się parać piórem. „... cała nasza zabawa — z ludźmi obcować, — peroruje pan Soplica — jeśli się (szlachcic) spostrzeże, że z daleka kurzawa się podnosi, ledwo serce nie wyskoczy z radości, że może ktoś o nim nie zapomni. A kiedy nadzieja nie zawiedzie, to dopiero szczęście! Ugaszcza się łaskawcy, sprowadza się go do stajni, popisuje przed nim pracą swoją, wypije się z nim, a gawędzi się, że ledwo nie płacze przy pożegnaniu”.

Rzewuskiemu niemal całe życie przeszło na gawędzeniu, bo umiłowanie gadulstwa cechowało nie tylko szlachtę. Wszak magnat Radziwiłł, Panie Kochanku, gaduła zawołany, nie tylko głową do miodu imponował masie szlacheckiej, ale i jego koncepta niewybredne wielkie miały wzięcie i Opaliński pod tym względem nie ustąpiłby placu szlachetce, a ta gawędziarska natura zbliżała szlachtę i magnatów do siebie. Często gadulstwo owo przechodzi w burdy i kłótnie, zwłaszcza „kiedy dusza się wylewa i serce do ust się przedziera”.

Trzeba było przysięgi, gdy powierzano jakąś tajemnicę, najczęściej plotkę z za oplotka.

Nic więc dziwnego, że mrukliwy mieszkaniec Śląska, skąpy w słowach i przede wszystkim dobrze je sobie ważący (z dwóch powodów: raz dla umiłowania prawdy, po wtóre z przyczyny posługiwania się dwoma, a czasem trzema językami, co hamowało swadę) nie był dla przybysza z nowogrodzkiego zaścianka bliskim kompanem.

Dziwi pana Soplicę, „jak można takie życie prowadzić, wszystko mieć do przyjęcia ludzi, a nie widzieć ich u siebie. „U nas by obywatel zwędził się z nudów, a on (Ślązak) się nie nudził, bo miał wielką bibliotekę i różnego gatunku zbiory. To jakieś kwiatki zasuszone w papierze, to robaczki, szpilkami pokłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce wszystkie, jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanię do Najświętszej Panny, że ani się zatnie... To kiedy się pracuje w polu, to te swoje drobiazgi przepatrzy, przeczyści, przekłada — i tak mu czas schodzi... to każdy u nich obywatel ma podobne rupiecie i niemi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba.”

Daleki kuzyn sir Rogera, angielskiego gentlemana ze „Spektatora”, pan Soplica popada w podwójną przesadę. Drobnym zbiorem w szlacheckim, czy napół magnackim dworze urasta w jego oczach do olbrzymiego muzeum, gdzie zebrane są osobliwości świata i z drugiej strony uważa je za „rupiecie”, których inaczej użyć się nie da, jak tylko jako zabawkę dzieciinną, przekładaną z miejsca na miejsce. Bliższym mu jest człowiek, niż zbiór muzealny, czy książka. I to może był objaw zdrowy, jeśli staniemy na stanowisku, że twórczość literacka jest zawsze rekompensatą pewnych niedoborów i anomalii. Zdrowy człowiek żyje, działa, obcuje z ludźmi, a nie pisze, ani też nie zaspokaja głodu wiedzy poznawaniem książek zamiast świata.

Owe „rupiecie” zbierali na Śląsku już od szesnastego wieku i takiemu właśnie śląskiemu zbieraczowi roślin, Andrzejowi Mathiolusowi zawdzięczamy ich opis. Śląskie Towarzystwo we Wrocławiu w dziesięć lat przed napisaniem przez Rzewuskiego „Pamiętek” było w posiadaniu rękopisu Albertiniego, śląskiego grzybologa. Z takich zbieraczy zamilowanych w odkrywaniu prawd z życia owadów wyszedł później ks. Dzierżoń, Kopernik ula, jak go powszechnie nazywano, europejska sława.

Działalność naukowa Ślązaków miała ten swoisty aspekt, że nie przyczyniała się do wynarodowienia nawet w wypadku, jak u Dzierżonia, posługiwania się językiem niemieckim, a przyczyniała się do rozszerzenia polskiego imienia na europejskiej arenie. Z drugiej strony wpływy germanizacyjne osłabiały się przez wspólnotę zainteresowań, badania geologiczne, przyrodnicze i geograficzne, które mówiły o całości strukturalnej Śląska i jego zależności gospodarczej od Pomorza. Granica Odry wystąpić musiała już nie jako granica polityczna, lecz geograficzna. Daleko jeszcze wtedy było do hitlerowskiego wynaturzenia nauki. Owszem zdarzały się słowa, jak te profesora wiedeńskiego Nadlera o „opuszczonym ludzie, a jednak tak zrośniętym z sercem narodów sąsiednich,” zaś profesor Schummel z Wrocławia już w 1791 roku wypowiedział znamieny pogląd: „Nie zaczynamyż procesu z polskimi Ślązakami! Bo przed trybunałem historii przegramy go we wszystkich instancjach” (Szramek, op. cit. s. 29).

Obiektywizm naukowy musiał dyktować takie zdania, aż najpierw cesarsko-imperialistyczna polityka Niemiec, a później rasizm hitlerowski nie zepchnęły go do historycznej „rupieciarni”.

„Wynikiem długiej infiltracji czyli mieszczaniny narodowej są jednostki nie tylko dwujęzyczne, ale też potrójnego oblicza narodowego, podobne do kamieni granicznych, które z jednej strony noszą zamię polskie, z drugiej niemieckie, albo do gruszy granicznych, które na obie strony rodzą. Nie są to ludzie bez charakteru, lecz ludzie o charakterze granicznym.” (Szramek Emil, Śląsk jako problem socjologiczny, Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku, t. 4, 1934 r., s. 35).

Szereg pisarzy dawniej i bliżej naszym czasem pisało po niemiecku, choć byli polskiego pochodzenia.

Tyle co do określenia przez Soplicę, że Ślązak „mówi trochę po polsku”. Zdanie Szramka i dzisiejszym osiedleńcom, podzielałym w wielu wypadkach sąd Soplicy, należy przytaczać, ilekroć siebie mają za lepszych Polaków od tych ludzi „granicznych”.

W przeciwstawieniu do tamtych śląskich mruków i odludków „szlachcic zajmuje się gospodarstwem, bo tak i Pan Bóg przykazał, aby o dzieciach pamiętać, żeby boso nie chodzili. Ale jak się namozoli, natupta, nadrypci — czemuże się rozerwie? U nas bibliotek nie ma, a choćby i były — czytać, to i rozrywka i trud; a człowiek potrzebuje czystej rozrywki.”

Zasadniczo w tej ocenie szlachcica, jakby przez niego samego wypowiedzianej, nie odbiegł Rzewuski ani od „Chudego Literata” Naruszewicza, ani „Podstolego” Krasickiego, jednak przydał charakterystyce Soplicy rys nowy. Zaakcentował troskę o rodzinę, która zawsze rozgrzeszała sumienie ciemnej szlachty i do dziś dnia jest wspinała tarczą przed zakusami t. zw. oświatowców, którym na argumenty o konieczności dorównania pod względem wykształcenia sąsiadom odpowiada się kontrwywozem o potrzebie owego „tuptania i drypczania” około chleba dla dzieci.

Soplica jedzie na Śląsk, aby „na wołach zarobić” i oczywiście po pokryciu kosztów wywieźć coś do „oporządzenia domu, i żonie kilka niemieckich fraszek”. Reinkarnacja, rzucając uwagę mimochodem i dla żartu, zdaje się być chyba nie tylko filozo-

Perspektywa Odry

Wszystkie krainy Ziem Odzyskanych zmieniły w ciągu minionego roku charakter i krajobraz. Wszędzie ruch ludnościowy znormalizował się na tyle, że miasta i osiedla mogą pomyśleć o planowaniu prac, wymagających zgody i współżycia. Co ręka ludzka zniszczyła, rękami ludzkimi zostanie naprawione. W roku minionym ręce ludzkie zrobiły tu tak wiele, że miejscami zmieniły całkowicie krajobraz ziemi.

Pomorze Zachodnie należało obok Warmii i Mazur do najbardziej wycieńczonych działaniami wojennymi regionów. Ci z nas, którzy wędrowali tu półtora roku temu, przypominają sobie, szczególnie w poburzonych miastach, chaos niemal antyczny. Na niejednym obliczu pokazywała się wówczas niewiara. A jednak, gdy dziś zajeżdżamy na Pomorze Zachodnie, stwierdzamy z radością, że życie normalizuje się tu według tych samych praw, według jakich znormalizowało się na Śląsku. Prawem takim w pierwszym rzędzie jest wiara w polską przyszłość tych ziem. Wiare tę noszą w sobie wszyscy ci, którzy nie przelatują przez Ziemie Odzyskane jak ptaki, ale naprawiają swe domy mieszkalne, zaorują pola, podnoszą wydajność fabryk, uczą w szkołach dzieci, rządzą krajem.

Zbliża się konferencja światowa, która ostatecznie ma załatwić w Europie sprawę niemiecką. Niemcy w obliczu tej konferencji prowadzą politykę dwukierunkową. Z jednej strony starają się być w wspomnianej konferencji reprezentowani przez przedstawicieli partii, z drugiej strony zaś przeprowadzają w radiu i prasie ataki na pozycje, które ich zdaniem jeszcze można choć w części obronić. Taką pozycją wydaje się Niemcom obecna linia graniczna na Zachodzie Polski.

Spojrzymy na Ziemie Odzyskane, a nabierzemy otuchy. Porozmawiajmy z ludźmi, którzy ziemiom tym zaprzędali już swoją duszę i los. Zrozumiemy, co to jest optymizm, trudny optymizm pracy, optymizm wyrosły z troski, ale już nieugięty. Ten optymizm pracy musi nam wystarczyć jako najlepsza zbroja, bo niestety zawiodła propaganda nasza o Ziemach Odzyskanych, o których obcojęzyczne książki na konferencję teraz dopiero są opracowywane, planowane i zamawiane.



Po tamtej stronie Odry, dokąd nieświe wzrok żołnierski, leżą Niemcy. Stamtąd idzie nienawiść, tu panuje spokój, pewność i praca.

D/1 5/1 0/2

ficznym wymysłem, lecz oczywistością, kiedy przyglądamy się znowu naszej współczesności.

Na Śląsku Soplita zapoznaje się z jednym obywatelem, pochodzącym z jego stron, który zobaczywszy kontusz, sam szuka z nim znajomości. Interesującym jest, skąd Putkamer znalazł się na Śląsku. W czasie reakcji jezuickiej, w okresie panowania sławionego przez Soplite Zygmunta III, luteranie mieszkający nad Niemnem wiaźali się z innowiercami polskimi z nad Odry. Kluczborek, Byczyna, Brzeg, Namysłów łączą się z Kiejdanami, Wilnem, Brześciem Litewskim i w naszym wypadku z Nowogrodkiem. Na Śląsku rozkwita ewangelicka literatura religijna w języku polskim. Stąd jak i z Królewca rozchodzą się drukowane nowiny religijne.

Stefan Sulima

Wokół dawnej Brunsbergi, której nazwa czerwieni się lub czerni na starych polskich i łacińskich księgach pobożnych, leży kraj zabity techniem wojny. Podobno koło Itawy i w gierdawskim powiecie do niedawna rozciągały się takie same dzikie pola.

Wojna obesła się z północną Warmią gorzej niż z jakąkolwiek inną połacią kraju. Tu rozegrały się ostatnie rozpaczliwe zapasy. Tu Niemcy ujrzeni się przypierani, a w końcu przyparci do morza. Tutaj zaciśnięły się pancerne ceگی wokół skazanych na zagładę drapieżników niemieckich. W obliczu końca bronili się Niemcy zacięcie. Ludność zażyła grozy wojennej, którą dotąd tylko czarne krzyże niemieckich maszyn wnosiły w granice obcych krajów. Wśród potęgającej się grozy przetoczyła się nawałnica wojenna i uniosła ze sobą życie.

Kilometrami nie widać człowieka w okolicach dzisiejszego Braniewa i Fromborka. Samotne domy, rzadko rozsianych osiedli, pełne śladów dawnej zamożności odstraszają zdalaka obspaną łuską dachówek i czernią jam okiennych. Imponujące stodoły i stajnie świecą łalami błękitu, oprawionego w czerwieni ceگی. Wiatr i smutek opuszczenia gospodarza w pogruchotanych obejściach. Pogniłe i porzewiałe maszyny wrosły bezwładnie w podwórce. Systematycznie pogrądzane pola wypasu zięją pustką. Grunty orne zarosły dziko pleniącym się zbożem, a jeszcze częściej mlecznym burzanem ostów.

W gęstwinie chwastów słycać nieustanny szmer. Szeleści zdziczałe zboże, chrzęszczą badyle ostów, a przez zatarte ścieżki i miedze, między splotami lodyg śmigają czarne, ruchliwe cienie i giną w czeluściach niezliczonych gniazd i nor.

Myszy owładnięty dziedzictwem człowieka i tuczą się dziełem wojny. Dźwigane przez lata, opustoszałe przez dzień, zniszczone przez chwilę prace ludzkich rąk, jak trup, obsiadły przez robactwo, znikają szybko i zmieniają się w nicłość.

Uparty osadnik wileński czy wołyński rozpoczyna gospodarke od wojny z myszami. Zwykły kij jest jego śmiercionośną bronią. Koleinami, złobionymi przez pług, kroczy rodzina osadnicza i młóci miarowo w rozkuwaną z pęć chwastów glebę. Setkami i tysiącami padają rozpanoszone gryzonie. Każdy cios jest śmiertelny. Każdy rozciąga czarne lub bure stworzonko, które nie ma na tej ziemi nic z Disneyowskiej niewinności.

Zaludnienie idzie powoli, ale systematycznie. Doświadczenia z t. zw. osadnikami skłaniają władze do obrony pustyni przed niepowołanym szkodnikiem. Na 16 wsi gminy fromborskiej późnym latem tylko 6 miało jaką taką obsadę. Do reszty zamierzano dopuścić tylko ludzi z prawdziwego zdarzenia. Dlatego wiele domów czekało jeszcze na właścicieli, a obok polnych drózek spotykało się w jamach, nie niepokojone przez żywych, kościotrupy w stalowych hełmach, zaciskające kurczowo piszczel wokół porzewiałej broni.

Ziemia braniewska czekała na polską falę powrotną, która przed wiekiem odpłynęła stąd na południe. A pragnieniem jej było, by nowy polski człowiek okazał się godny jej przeszłości.

Już po rozbiorach północna Warmia przeżyła coś w rodzaju obecnego opuszczenia, jakkolwiek na nieporównanie mniejszą skalę. Kiedyś nie Olsztyn, ale Licbark i Brunsbergi były centrami żywotnymi warmińskiego regionu. Rezydencja książąt biskupów skupiała nici administracji kraju, jaśniała od blasków dworu lenników duchowych Polski. Brunsbergi świeciła z nad morza jako ognisko kultury i cywilizacji polskiej, od którego grzał się cały kraj. Tu znajdowały się tłocznie drukarskie, słynne kolegium jezuickie, fundowane jeszcze przez Hozjusza, stąd promieniowały wpływy intelektualne dla zaspokojenia duchowych potrzeb warmińskich.

Czymże mógł pan Soplita zaimponować swojemu „krajnowi”? Tylko „porządny ubranie i pasem litym”. I kiedy Putkamer dyskretnie się przymawia o kupno (sic!) takiego szlacheckiego, „porządnego” ubioru na pamiątkę (sic!), Soplite ruszyła ambicja i oświadcza, że „nie tandetnik aby ubiór sprzedawał”. „A chociaż pas słucki do tysiąca złotych mnie kosztował, rad byłem go przekonać, że kiedy potrzeba, to my się nie rachujem i że darmo jego chleba nie jadłem”. Putkamer znał się na rzeczy i odpłacił się... dwunastu krowami i buhajem.

Tym jednak nie zaimponował Soplite. Nie zachwyciły go zbiory, ani biblioteka, czy wspaniałe, jak pałace budynki gospodarcze, dopiero biblijna poządliwość oczu, jaką zgrzeszył Putkamer na widok słuckiego pasa, otworzyła Soplite serce na oścież. Przecie to swój człowiek! Za ubiór szlachecki, za pas w radziwiłowskim słucku wyrabiany, w którym jeden dzień paradował, aby złożyć go później na pamiątkę, gotów oddać połowę swego majątku. Mógł taki pas dostać i w Krakowie, gdzie w osiemnastym wieku były trzy fabryki pasów, wolał jednak słucki, bo przypominał mu rodzinne strony.

Z tym pasem związane były i osobiste wspomnienia Rzewuskiego. Jego pierwszy nauczyciel tak był do pasa przyzwyczajony, że nie usnąłby, gdyby sobie ręcznikiem brzucha nie owiązał. Kiedy Henryk zapadł na zdrowiu, uważano, że powodem choroby było zdjęcie stroju staropolskiego i pasa. W czasie zabawy syn Mateusza Radziwiłła zdjął Henrykowi pas, którego przyzwyczaił do obcego stroju słucky zawiązać nie mogli, ten uciekł w krzaki i za żadne skarby nie chciał się do stołu.

„Pamiętki Soplite” to taki pas wzorzysty, wielostronny solidnej i wprawnej roboty, a motywy śląski przewinał się na nim wcale ciekawie, jednak mimo wartości kompozycyjnej pozostaje już do dziś jako zabytek literacki, właśnie jak zabytkiem jest ów słucki pas.

Zabytkiem kultury Śląska są i te „rupiecie”, ale gdy tradycja szlachecka odżyć już nie potrafi, choć w wielu wypadkach nad polską rzeczywistością ciąży właśnie w tendencji przekładania splendoru nad istotną wartość, to prace śląskich epigonów nauki dziś szczególnie zyskują coraz więcej blasku.

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (11)

Zywe kamienie

Kraj kwitną pod rządami Licbarka sielski i anielski. Jeśli wstrząsały nim jakie burze, to były to tylko najazdy krzyżackie Albrechta, a potem inwazje szwedzkie i ślepe, nieuchronne tchnienia zaraz. Odbudowywał się po nich szybko i życie nabierało znowu rumieńców. Panowała zamożność i dosyt, swoboda obywatelska i spokój, wsparte o nad wyraz łagodną politykę fiskalną — z gruntu odmienną od krzyżackich czy hohenzollernowskich wzorów.

Przeciw protestantyzującym miastom niemieckim sprowadzali biskupi lud polski ze Śląska, Pomorza, Poznańskiego i spod Krakowa. Otaczali opieką i wzmacniali, jakby zadość czyniąc sprawiedliwości wobec wyciętych tu bezlitośnie dawnych autochtonów.

Rozmaite kształtem szczyty miniaturowych kamieniczek baroku pozostały po tym złotym okresie księstwa warmińskiego. Łagodny polski klimat duchowy sprzyjał kupieniu się ich w malownicze uliczki, w rozległe stylowe dziedzińce, odbijał w sentymentalizm filuternych facjatek i zacisznym półmroku rynkowych podcieni. Duch zrozumienia dla potrzeb życiowych człowieka ożywił miasteczka warmińskie. Pokrył krzyżackie kościoły i zamczyska, łagodząc surowość, miękkością barokowych przybudówek, przybrał bielą i złotem, kontrastującymi z czerwienią budowli krzyżackich. Nadał obliczu kraju swoiste, niezatarte piętno. Stał się duchem czasu.

Jan Sztudynger

Biała Pani z Wrocławia

Czy widzisz w mleku księżycowym,
Jak się przemyka biała pani...
Przed zwiędłym liściem chyli głowy
W zwiędłym szeleście jasných tkanin.

Na rękę dziecko drobne trzyma,
W usta mu kładąc srebrną sutkę.
I pękiem kluczy, których nie ma,
Otwiera wciąż tę samą kłódkę.

Daremnie ludzie zamykają
Na cztery spusty dom i duszę,
Daremnie burmistrz drży, jak zajac
Skrobiać się w głowy zwiędłą gruszkę.

Daremnie pani burmistrzowa,
W spodnicę białą głowę chowa,
Daremnie truje się aptekarz,
I ty daremnie jej uciekasz.

Kiedy wychylisz oczy z blanków
I spojrzysz w niebo granatowe,
Urzeczę cię chmur białą pianką,
O Kunegundzie ci opowie.

Nie chciała Niemców za kochanków,
Chociaż ich w kolo było mrowie,
Wolała cichy chłód poranków,
Gdy w kolo złoci się listkowie.

Nie była straszna ni okrutna,
Ale jesienią złotą... smutna.
W przepaść walili się rycerze,
Jak opadają teraz liście,
Aż doczekała kasztelanika
Na woja Polan późne przyjscie.
Oparła latom się uroda,
I piękna była, choć niemłoda,
A serce zachowała święte
Na powiew szczęścia niezamknięte.

Lecz rycerz młody był i pusty
Nieczuły na jesieni wiosnę
Dostrzegłszy zamszarcze w kącie ustek
Wstrzymał zapaly swe miłosne.

Pierwszy rozbiór zgasił blask świetności warmińskiej. Barbarzyński, prusacki prymityw i obcy drill nie mieściły się w wychuchanych ramach, pozostałych po polskim władztwie. Jak dziś, na oczach jednego pokolenia, puls życia miasteczek północnej Warmii osłabł, niby u chorego człowieka. Zniknęła świetność. Przez całe pokolenia ludność tego kraju wstrzymała się w liźebnym rozwoju. Miasteczka zasklepiły się w ramach skromnych, pojedynczych tysięcy dusz, spauperyzowały gospodarstwo i podupadły. Z biegiem czasu pozostały tu jedynie świetne kamienie, opustoszałe mieszkanie ducha, który uleciał, wygnany na jeźdźczą dłoń. Nic się tu nie zmieniało. Co najwyżej mieszcuchy niemieckie, dziwnie tu sentymentalne, przefasonowały barokowe szczyty na modniejszy empire.

Z upadkiem ekonomicznym i kulturalnym poszedł i odpływ polskości. Słabo osiadła ludność ciążyła do kwitnących miast i skupiała się wokół centrów życia. Gdy ich brakło, zaczęła się ugiąć pod naciskiem warunków i niemiecką przemocą. W XIX wieku granica etnograficzna polsko-niemiecka zesłała poniżej Bartoszyce, Osnety i Licbarka i oparła się o Lynę. Piękna, archaiczna gwara śląska przez jakiś czas powstrzymywała fale zalewu, póki nie runął żyński front i germanizacja nie podeszła omal pod Olsztyn. Ten stał się w połowie wieku nową stolicą, centralnym punktem oporu dla cofającej się pod działaniem północnego tłoka, ściekającej ku południowi polskości.

Przyjdzie, przyjsć musi, gdy jej pora
Zazgrzyta kluczem niewidzialnym
Nic nie pomoże krzyż przeora,
Ni zakonników trwożne psalmy.

Dzieciatku poda pierś srebrzystą,
Dzieciatku, które dawno zmarło,
Otworzyć będzie próbowała
Kłódkę za życia nieotwarłą.

Poco modlicie się, wzdychacie,
Jadło rzucacie jej i wódkę,
Wreszcie ugascie jej ciekawość,
Otwórzcie tajemniczą kłódkę.

A wtedy wreszcie, wreszcie syta
Odciekawiona aż po wieczność,
Przestanie nocą kluczem zgrzytać
A ja was guślić tą powieścią.

Ballada o Chojnastach

Wskoczył na siwka, kopia skinał
Wyjechał z zamku i.. zaginał. —

O Polsko, która do swych córek,
Przychodzisz późno i oziębła,
Krwia Kunegundy zakwitł wzgórek
Skoczyła w przepaść, jak w przerebłę.

I między liśmi — jeden więcej —
Leżała głowę tuląc w ręce.

O Polsko, wieki przeszły, miną.
I przyjdą nowe, przyszłe wieki,
Lecz przykleknijmy nad dziewczyną
Całunkiem zamknąć jej powieki.

Drobne listeczki, złote listeczki
Szumcie wiatrowi imię dziewczeczki.
Buki złociste i bursztynowe,
Fowiedzieź bajkę o włosach płowych.
Sosny wiekami mrące na skalach,
Jak ta, co Polski daremnie chciała.

Płaczcie liście, płaczcie srebrnie i złociste:
Ku-ne-gun-do.

Twierdze jej przeniosły się z kamiennych pomników do kurnych nierzadko chat, pod słomiane strzechy, by dawać odpór coraz większemu ciśnieniu i naporowi.

Zniemczyły dawne stolice. Łacińskie epitafia i „polski” styl w architekturze pozostały jako jaskrawe kontrasty. Bujość ogarniająca wszystkie sfery życia, zdążająca do jak największej jego pełności, została skazana na sąsiedztwo z bezdusznym prusackim szablonem, zaprzęgniętym w służbę podstępny i sily.

Ilekróć byłem na południu Warmii, zastanawiał mnie zupełnie niezwykle w prostym tutejszym ludzie sentyment do przeszłości, jakiejś dalekiej reminiscensje dawnych lepszych czasów i związku z Polską poprzez ogniwa starych zabytków, jakiejś przebrzmiałe tradycje i anachroniczne nawyki myślenia. Pokazywano mi barokowe Madonny z objaśnieniem, że to jeszcze „polska Matka Boska”, mówiono o „polskich biskupach” ze splekanych płócien, o „polskich domach”. Jakiejś niedopowiedzenia, jakiejś powikłania za aktualną polską przeszłością nie pozwalały zgłębić duszy i mentalności tego ludu. Coś męczyło i niepokoiło, zwłaszcza, że równocześnie wyłaniał się problem odmienności warmińsko-mazurskich, przeświecający z życia, jakby spod rzeszy zastarzałych porostów, fragmentaryczny i niepowiązany. Coś jakby świat platońskich idei krył się za okruciami warmińskich wypowiedzi. Poza podświadomymi sentymentami, chowała się wizja jakiejś duchowej ojczyzny.

Na gruzach północnych miasteczek, na zwaliskach starego Licbarka, na strasliwej ruinie Braniewa, które na swą skalę szło o lepsze z pięknością Gdańska, ujrzałem strzaskane oblicze warmińskiej ojczyzny, a przez nie zawiły problem kontrastów warmińsko-mazurskich ukazywał mi się w nowych, uchwytnych konturach.

Osiem czy dziewięć razy przejeżdżałem przez Olsztyn w czasie mej pruskiej podróży i za każdym razem w zestawieniu pojedynczych zdarzeń zagadnienie to ukazywało się w coraz innych aspektach. Dwie formacje cywilizacyjne, oddalone od siebie o kilka kilometrów, skostniałe w hermetyzmie partykularzy, frapowały omal od pierwszego dnia wyprawy.

— To jest po naszymu, krakowskim szryftem — zauważył siwy Mazur spod Pasymia, podając mi fotografię.

Ilekróć pociąg stukał po zwrotnicach olsztyńskiego dworca, szukałem gorączkowo wspólnego mianownika dla tych pojedynczych zjawisk i linii granicznej, która by bez reszty wyjaśniła zagadnienie nie tylko od religijnej strony. Przypadek odsłonił mi archaiczną podziałów warmińsko-mazurskich i ukazał inny punkt widzenia na te dwa regiony jednego kraju, które są niby dwie muszki zasklepione w grudkach bursztynu. Było to jeszcze, nim przemówiła Brunsbergi.

Jednego dnia słuchałem tylko o Samulowskim, ks. Barczewskim, Liszewskim, Pieniężnym czy Zientazównie jako o soli pruskiej polskości — innego mówiono mi znowu w tym samym sensie o Lince, Kajce, Barkem, Labuszu czy Leyku. Jednego dnia słuchałem godzinę w kościółkach warmińskich śpiewanych polszczyzną Kochanowskiego i mówiono mi: „to nasze śpiewki”. Innego stary chłop mazurski cytował mi werset ze Starego Testamentu, ale gdy mu pokazywałem łacińskim drukiem wydaną, małą antologię literatury mazurskiej z reprodukcjami szesnastowiecznych druków protestanckich, popatrzył z niechęcią na książkę i rzekł twardo: — Ta książka nie jest pisana po naszymu.

Potem znow pokazywano mi troskliwie przechowywany zbiór warmińskich wydawnictw ludowych, wypełniony pobożną treścią, a w jakiś czas potem na Mazurach wypadła mi w autobusie reprodukcja karty jednego z polskich inkunabułów, drukowana szwabachą, która zaplatała się jako zakładka w przewodniku Orłowicza.

W Licbarku, oglądając ze starym Warmiakiem oranżerię Krasickiego, którą Niemcy zmienili na kostnicę; natraciłem półzartem o epikurejskie upodobania i wolnomyślność autora „Monachomachii”. Stary, niezbyt biegle po polsku mówiący, człowiek, który wzdychał się omal do łez, gdy mu mówiłem o Krakowie i prześpiewywał mi stare pieśni kościelne na dowód, że pochodzą z Krakowa, schował się pod wpływem mych słów, jak ślimak w skorupę i od tej chwili odpowiadał już monosylabami. Na pożegnanie nie wytrzymał i uciął wykład o przeszłości Warmii i niezwykłej roli książąt-biskupów. Mimo całej idealizacji i niezbyt gruntownej wiedzy, on pierwszy zwrócił mi uwagę na równie polityczne jak religijne podłoże pruskich podziałów.

Tak się złożyło, że w jakiś czas potem wdałem się również przypadkowo w rozmowę z inteligentem mazurskim o Albrechcie Hohenzollernie i nieostrożnie wypowiedziałem utarty w reszce kraju pogląd na osobę tego, któremu marzyła się Germania nowa, zrealizowana w końcu przy udziale naszego niedołęstwa i krótkowzroczności. Inteligent mazurski był nie mniej dotknięty w swych uczuciach, jak stary Warmiak. Wypowiedział się z wielką siłą przekonania, a w ustach jego wyraz Królewiec miał brzmienie równie ciepłe, jak Kraków w słowach tamtego.

Ta rozmowa ukazała mi drugą stronę medalu. Linia podziałów pruskich jest anachroniczna i dawno przebrzmiała w reszcie kraju, a wywodzi się z czasów, gdy w dawnej Rzeczypospolitej walczyły z sobą o lepsze dwa światopoglądy i dwie koncepcje polityczne, jakie reprezentowały obozy reformacji i kontrreformacji. Podział, który rozłamał Polskę złotego wieku na dwie połowy, a zniknął dopiero z zupełnym zwycięstwem katolicyzmu, przetrwał tu do dzisiaj.

W dwóch jedynych bodaj w ramach państwowości polskiej pruskich państewkach: świeckim i duchownym, wykształciły się typy psychiczne i mentalności, jakich nie podejrzewamy w kraju, gdzie rozwój życia narodowego nie utknął ani na pokój welawsko-bydgoskim, ani na pierwszym rozbiocie. Sentyment Warmii do katolicyzmu i to katolicyzmu, którego tradycje są równie przedrozbiorowe, jak książęco-biskupie, nie tłumaczy się bowiem zarzutem „klerykalizmu”, a specyficzna umysłowość mazurska „większym złamaniem psychiki”, jak to się gdzieś próbuje wyjaśniać. Cała pointa tkwi w skostnieniu światopoglądu i odcieciu od źródeł narodowego życia, obojętne mniejszych czy większych.

Dla Warmii polska przeszłość upłynęła w cieniu albo jak kto woli w blaskach rezydencji licbarskiej i kuźni brunberskiej katolickiej myśli kontrreformacyjnej. Cała świetność gospodarcza i swoboda indywidualnego bytu, liczebność żywiołu polskiego i jego znaczenie, mrowie zabytku architektonicznego i poczucie związków z Polską jest dziełem „duchownej” przeszłości i pracy cywilizacyjnej Kościoła polskiego, który od Hozjusza po Krasickiego reprezentował tu jednostki wybitne (nierzadko królewskiego rodu), w tej liczbie pięciu późniejszych prymasów, a każdy z nich albo kolonizował protestanckie miasta albo wznosił

wspaniałe dzieła sztuki, albo dbał o oświatę, albo co najmniej przydykował lokalnym sejmom i reprezentował majestat Rzeczypospolitej.

Tylko najazd szwedzki mógł oddać lenno warmińskie w obce ręce brandenburskie i usunąć biskupa, tylko rozbiór w sposób gwałtowny i nienaturalny mógł położyć kres suwerenności jego władcy i przerwać paszę polskich rządców tej ziemi.

Inaczej było na Mazurach. Tutaj reformacja pobudziła tętno polskości i ona dała początek złotemu wiekowi mazurskiej kultury. Sekularyzacja wykopała przepaść, jaka w czasach krzyżackich, a potem wyraźniej od pokoju toruńskiego zarysowywała się za ledwie między Warmią a „krajem czarnego krzyża”. Odmieniło się zupełnie oblicze duchowe książęcego kawału Prus. Zasada cuius regio, notoryczna w świeckich i duchownych państewkach zachodu, wyznaczyła Mazurom miejsce w obozie reformy i zupełnie odmienne szlaki rozwojowe.

Jakiegokolwiek byłoby nasze zdanie co do intencji Albrechta i celów, w jakich tworzył w owym państwie separatystyczny azyl dla najwybitniejszych przedstawicieli polskiego luteranizmu, nie sposób odmówić mu iście mecenasowskiego gestu w odnie-

sieniu do wspaniałego ośrodka polskiej myśli innowierczej w Prusach XVI i XVII w. Na Mazurach mało było „polskiego” baroku. Jeśli wciskał się poza granice Warmii, to nierzadko pod presją polskich suzerenów, albo przesączał gwoździ zaspokożenia sentymentów ludowych. Chlubą Mazurów jest świetny ruch umysłów innowierczych, wyrażony w niezwykłym rozkwicie polskiego słowa drukowanego, wyprzedzający krajowe osiągnięcia. Język polski w zborze, pierwszy polski przekład Pisma św., jedne z pierwszych w świecie protestanckich ustaw kościelnych, pierwsza polska gazeta w Prusach XVIII w. — były dziełem polskiego środowiska, które rozkwitło wokół uniwersytetu królewskiego i dworu książęcego protektora.

Może się Warmia chlubić zabytkami architektury, może podziwiać produkcję literacką Brunbergi (nieporównanie mniejszą) i jej jezuickie tradycje wychowawcze i kulturalne, Mazury za równoważny, bo za wiele wyższy przejaw polskości ich historycznych tradycji uważają okres, w którym jak wierzą, byli wybraną częścią „oboju postępu” w Rzeczypospolitej. To od nich, nie na odwrót, zapładniała się polska myśl reformacyjna w przeciągu dwóch wieków.

Należy być bardzo ostrożnym wygłaszając na Warmii poglądy na osobę poety-biskupa, ale kto wie czy nie większym nie-taktem jest rzucać cież na Albrechta na Mazurach. W dawnej Polsce wzdychali do niego dysydenci, jako do ideału władcy, światłego reformatora i przyjacielu Polski, a wiele z tego nimbu pozostało mu do dziś w oczach mazurskich, nie zdołałem stwierdzić czy tylko inteligentów.

Nierzadko robi się t. zw. autochtonom zarzut, że nie mają zrozumienia dla polskich programów politycznych doby obecnej i stąd kuje się przeciw nim ostrze inwektyw. Mało kto rozumie, że to nie zła wola, ale archaiczność szkoły politycznego myślenia, obok wiekowych obcych tradycji państwowych, jest przyczyną tej „apolityczności”. Jak dotąd łatwiej jest ranić tuziemcze uczucia, niż je rozumieć.

Kiedyś unoszono się nad regionem góralskim, który roztoczył przed krajem nowe bogactwa rodzimego folkloru. Zachwyty te szły aż do kulturywowania przesadnego regionalizmu. Dziś inne „odkrycie” prosi się o prawo obywatelstwa w opinii publicznej. Dobrze by było zrozumieć, że na naszych oczach Polska stała się bogatsza o zacofanie warmińskiego i mazurskiego regionu, bogatsza o zabytkowe curiosum, które warto by uchwycić, nim zatonię w próżnej terażniejszości.

Dotąd pod tym względem mało widzi się inicjatywy. Ignorancja niższych władz i ogółu społeczeństwa doznaje obecnie pomiarkowania od góry w sprawach najjaskrawszych. Nienawistne asocjacje słowa Prusy sprawiły, że do niedawna wszystko było tu tylko i wyłącznie mazurskie od nazwy województwa po muzeum regionalne, instytut naukowy i lokalny dziennik. Zarówno do Warmiaków jak Mazurów mówiło się na równi: wy Mazurzy. Dziś (aczkolwiek Warmiacy do tej chwili biadają, że ich stolica Olsztyn nie ma ulicy Hozjusza, czy ks. Barczewskiego, choć są tu ulice Reformacji a nawet... Husa) dążenie do różniczkowania zagadnień warmińsko-mazurskich zdobywa sobie prawo obywatelstwa. Tym bardziej brak naukowej czy choćby publicystycznej tylko próby ujęcia zagadnień warmińsko-mazurskich i spularyzowania ich w szerokich masach społeczeństwa.

Na razie przed wędrowcem, któremu ten kraj jest na tyle bliski, że chciałby go zrozumieć, pozostaje droga samotnych poszukiwań syntezy i metoda klecenia przypadkowych obserwacji w mniej lub więcej udaną całość.

Północ Warmii, nawet przy ogromie nieopisanych zniszczeń wojennych, stanowi nadzwyczaj ważne dopełnienie wachlarza aspektów, pod kątem których patrzyć trzeba na przeszłość i terażniejszość spraw pruskich.

Można wiele korzystać, obcując z żywym człowiekiem, można wiele przeczuć po przez wyrazistość słów i gestów, można z kolosalnym pożytkiem czerpać z książkowej wiedzy, ale by zrozumieć, choćby jednostronnie, ducha dziejów kraju, trzeba pokontemplować nieco budowlę Licbarka, Braniewa czy Fromborka. One to wytyczały kierunek biegowi spraw pruskich na swoistą modłę, widoczną mimo zwietrzenia wieku antagonizmów i półtorawiekowych niemieckich retuszy.

Nagroda Literacka Czytelników »Odry«

Jedenasta lista składek

Leonard Borkowicz, wojewoda szczeciński	50 000 zł
Wojewódzki Urząd Inform. i Propag. w Szczecinie	3.000 zł
Tomasz Kowalczyk, Krzyżowice	1.000 zł
Natalia Kruszonowa, Gorzów Wlkp.	500 zł
Michał Kowalski, Katowice	5.000 zł

Składamy wszystkim ofiarodawcom jak najserdeczniejsze podziękowanie za cenne składki. Szczególnie wdzięczni jesteśmy Obywatelowi Wojewodzie Szczecińskiemu, który podobnie jak General Aleksander Zawadzki, wojewoda górnośląski, ofiarował na nagrodę literacką „Odry” 50.000 zł. „Odra” od samego początku żywo interesuje się Szczecinem, oceniając sprawiedliwie ambicje kulturalne tego wojewódzkiego miasta. Województwo Szczecińskie pod kierownictwem Leonarda Borkowicza stało się nie tylko pięknie zagospodarowaną częścią Polski, o coraz szybciej normalizujących się stosunkach ludnościowych, ale i terenem organizującym żywo swe nieliczne jeszcze ośrodki pracy kulturalno-oświatowej.

Wydawnictwo Michał Kowalski pisze nam przy okazji wpłacenia składki na nagrodę:

„Podjęta przez W.Panów inicjatywa utworzenia Nagrody Literackiej dla młodych talentów literackich Ziemi Zachodnich jest pięknym i godnym poparcia wyrazem działalności W.Panów i niewątpliwie dorzuci wartościową cegielkę do odbudowy polskości na Ziemiach Odzyskanych”.

Suma dotąd wpłaconych składek wynosi 153.100 zł. Dalsze składki prosimy wpłacać na Konto „Odry” w P. K. O. III-4960 Katowice.

ŚWIĄTKI MAZURSKIE



Madonna z dziećmi. Rzeźba gotycka z uzupełnieniami ludowymi. Wiek XV, pow. Olsztyn, warsztat lokalny



Św. Trójca; rzeźba ludowa z ok. 1780 r. Pow. Olsztyn



Św. Mikołaj; rzeźba ludowa z okolic Olsztyna



Rzeźba z epitafium z kościoła z Bartoszyce, pochodząca z pol. XVII w.

Fot. i zbory Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

Gustaw Morcinek

ŻEGOTA

Fragment

(Dokończenie)

Żegota jest już więc od kilku dni w Brukseli.

I znowu oszołomił go ów gwałtowny przeskok z jednego miasta do drugiego, z jednego krańca ziemi na jej drugi kraniec. Podobnie jak oszołomiony był wtedy, gdy z obozu koncentracyjnego wyjechał do Paryża. Lecz wtedy było to innego rodzaju przeżycie. Wtedy był podobny do małego dziecka, które matka po pierwszy raz w życiu przywiozła z dalekiej wsi do ogromnego miasta, pozostawiała na skrzyżowaniu ruchliwych ulic i gdzieś poszła, a on został sam. Wtedy był to jakiś lęk nieokreślony. Przecież wiedział, że mu nikt krzywdy nie uczyni, że nie ujrzy „esmana“ za sobą, a jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten wszystek zgiełk wielkomiejski, ten hałas, ruch, życie — że to wszystko zbiorowy objaw wrogości.

Oszołomienie, które przeżywa w Brukseli, jest innego rodzaju.

W oczach jeszcze ma tę niekończącą się czarną, asfaltową drogę, po której gnał ich półciężarowy samochód. Droga wiodła przez góry i doliny, przez jary i wądołce, przez rozległe pola i winnice, za szalejącymi potokami górskimi i wzdłuż niesłychanie błękitnego morza. Przystawali w przydrożnych trottorach, pili wino, zagryzali go serem z czosnkiem, nocowali w jakichś starych gospodach o ogromnie szerokich łóżkach, pod obrazem Madonny z gorejącą lampką oliwną. Lampka oliwna jarzyła się w nocy rubinową kroplą nad głową noc zaś pachniała pomarańczami. A gdy pchnął okiennice i spojrzął w noc, zauważył, jak bardzo obrodziła w gwiazdy i jak w jej głębi dziwnie szumiało morze. Po drugiej stronie był ogród, a w ogrodzie stała jakaś zamierzchnia gloriетка, obrośnięta bluszczem. Dochodził z niej namiętny szepc miłosny, jakieś westchnienia ściszone, czasem posypał się stłumiony śmiech dziewczęcy, a w wysokich, czarnych drzewach kląskawy słowiki. W taką noc chyba zrodził się u Szekspira pomysł do jego „Romea i Julii“.

Po drodze przejechali tylko małą świnkę. Wybiegła znieczeka z ogrodzenia na skraj drogi, popatrzyła zdumiona na rozwierającą się przed nią wolność, kwikła radośnie i skoczyła pod samochód. Szofer zahamował gwałtownie, panie zapiszczały przerażone, a kiedy w końcu samochód stanął, wszyscy zaś wychyliłi głowy, dostrzegli świnkę, uciekającą z lamentem na trzech nóżkach.

Potem jechali wzdłuż morza. To już nie było morze, to był płynny błękit, przesycony słońcem. Białe żagle błędziły po widnokręgu, jak radosne cienie dusz, które poszły do nieba. Droga miejscami dotykała morza, a wtedy drobne fale podbiegały do niej i spleleńły. Czasem wynosiła się na urwisko, a wtedy patrzyli z góry na morze. Z prawej strony rosły pod niebo turnie, a ich poszarpane ściany były obwieszane girlandami kwiatów. W kwiatkach tonęły domki i wille wszędy spoczywała dostatnia cisza, że można by rzec, tędy nigdy nie przeszła wojna.

A jednak przeszła.

Od czasu do czasu dostrzegli sterczące z wody antenowe maszty jakiegoś wojennego okrętu lub jego czarny, poszarpany dziób, wynurzający się prostopadle z morza. Na brzegu zaś stały opuszczone już, ponure, niskie forty z małymi strzelnicami lub olbrzymie kloce betonowe, zagradzające wyjście na brzeg. Mijali miasta i miasteczka, jasne, słoneczne, pełne kwiatów i dzieci, a znieczeka trafiali na całe dzielnice leżące w gruzach. Czasem na białym piasku piaskiego wybrzeża spoczywały rozbite czołgi, walały się pogięte i podziurawione hełmy, jakieś szczątki samochodów spalonych, szmaty ze śladami haszywek mundurowych, piasek zaś był stratowany, poryty lejami, opuszczony i ponury. A na widnokręgu znowu wystykały z morskiego błękitu czarne dzioby potopionych statków i okrętów.

Kierownik transportu był pijany winem, lecz kiedy ujrzał takie cmentarzysko, zawsze umiał objaśnić.

— Tu próbowali lądować Anglicy, a tu Amerykanie!... A tam znów udało się dessantowi wyjść na brzeg, nawet z czołgami wyjechać, lecz wszyscy zginęli!...

— Z czołgami? Z morza?... — zapytała dziewczyna o urodzie porcelanowej lalki. — Jej, to musiało być interesujące, prawda, panie poruczniku?...

Pan porucznik był pijany i dlatego może spojrzął na laleczkę z nieukrywaną pogardą i potwierdził z przekąsem:

— A tak, to było bardzo interesujące!...

Dziewczyna miała twarz uśmiechniętej łasiczki. Twarz była upudrowana, usta ukarminowane, a brwi zakreślone tuszem w wąską, zdumioną linię.

— Prawda? — zaszczebotała. Zdawało się, że w ustach ma cukierek.

— Tak, to było interesujące! — upewnił ją jeszcze raz oficer. — Niech sobie pani wyobrazi! Do brzegu podpływały ogromne statki o płaskich dnach i o ściętych dziobach, znieczeka otwierają się ogromne wrota na przedzie, z głębi wyjeżdżają czołgi i tankietki, zanurzają się w morzu, wylazą na brzeg i suną na betonowe bunkry, jak ogromne czarne żuki, plujące ogniem.

A bunkry plują również ogniem. Potem czołgi i tankietki zaczynają się po kolei palić, a w nich palą się żołnierze... Na brzegu zaś stoją śliczne, czarnookie dziewczyny włoskie, klaszczą w dłonie i wołają uradowane: — Bravo, bravissimo!... Płonący żołnierze zaś wyskakują z tanków, czołgają się po piasku, posyłają tamtym dziewczynom całusy płonąca ręką i umierają!... To było naprawdę bardzo interesujące. W kinie może to pani jeszcze raz zobaczyć!... Za 100 lirów na balkonie!... Radzę pani!...

Dziewczyna była tak bardzo głupia, że nie spostrzegła, iż porucznik z niej dworuje, że go ponosi wściekłość.

— A tamte dziewczyny włoskie? Co tamte signoriny? — zapytała i prychnęła okrowanym śmiechem.

— Tamte signoriny? Hm, zeszły do niemieckich bunkrów i zaczynały się puszczać z żołnierzami na grandę!... Raz kozie śmierć. Jeżeli nie z angielskim Tommy, to z niemieckim Hansem. Byleby się tylko puścić!...

Dziewczyna oniemiała. Potem zaczęła wymyślać oficerowi. Płakała, a jej twarzyczka uśmiechniętej łasiczki przemieniła się w starą, złą twarz pawiana. Potem już nie odezwała się do niego ani słowem, aż do Paryża.

Lecz to wszystko należało już do przeszłości.

Żegocie przypominały się wciąż potopione statki wzdłuż wybrzeża i tamten stopedowany statek-cysterna w „ich morzu“, z którego topielce wychodziły na brzeg w burzliwą noc jesienną.

Teraz w Brukseli stopniowo pozbywał się zdziwienia.

Mieszkał w starej kamienicy przy Avenue Molière. Kamienica, jak wiele innych kamienic brukselskich, była wąska i wysoka. Posiadała tylko dwa okna z frontu, a na każdym piętrze znajdowały się tylko jeden duży i jeden mały pokój. Mieszkał tu kiedyś, przed wojną, jakiś Żyd belgijsko-angielski i stąd tyle książek angielskich w starej szafie gdańskiej. Najliczniejsze z nich, to stare wydanie Waltera Scotta w czerwonych okładkach, ze sztychami o posępnym wyrazie. Mgły, niskie niebo, ciężkie chmury kłębiaste, ponure morze, krajobrazy skaliste. Właściciel w czasie wojny gdzieś zaginął. Rzecz jasna, że go Niemcy spalili w krematorium.

W tym domu znajdowały się stare meble. Jakaś mieszanina Ludwika XVI, Empire, Biedermeiera, Secesji, a potem jeszcze wytwory rodzimej sztuki stolarskiej o haniebnym guście i smaku. W sumie stara rupiecarnia z lustrami w złożonych ramach rokokowych, z meblami o wykrzywionych nóżkach, z wypłowiałymi obiciami, z dywanami na podłodze, dywany zaś tak wyglądały, jakby przeszła przez nie cała armia w podkutych butach. Były jakieś zakamarki, nisze, parawany, cudacznie haftowane kopie Rubensa, gobeliny i witraże. Obrazy ginęły w ciężkich, złożonych ramach. Słowem brzydkie muzeum, świadczące o brzydkim smaku właściciela, który swój „home“ brzydki ozdobił. Brakowało jeszcze jakichś gipsowych odlewów na parapetach okiennych i wypchanego psa na otomanie, jak to brukselczycy zwykli ozdabiać swe mieszkania.

W domu tym straszyci!

Tak przynajmniej twierdzili sąsiedzi, patrzący zawsze z lękiem na Żegotę.

W domu tym więc straszyci.

Stanisław Skoneczny

Odwrot

Macierzanki jeszcze woń niosą miedziami w sady
ociężałe bielonią mroku nad śladami dzieciennych stóp.
Żurawie skrzypią przeciągle, niebo podnosząc blade.
O szyby warkot myśliwców dzwonił jak uderzenie grud.

Na pustym horyzoncie drzewa idą gromadą.
Nieruchomo sterczą gałęzie nad skrzydłami wiatraków.
Drogą pełną wyboi w zmierzch wojenny idą i jada,
a szumi nad nimi lot ciągłych do gniazd ptaków.
Hełmy dzwonią o siodła, rzemienie parzą skórę
koni łowiących w uszy trąbkę wśród sosen burych.

Wynoszą kobiece ręce w mijanej wsi garnuszki
z mlekiem kipiącym pianą. Usta piją zaschnięte.
Sypią się liście strącane po lufach jak polne gruszki,
schną malwy w ogródkach, a rosa dojrzewa miętą.

Gwiazdy nie błyszczą na niebie. Wiatr drzewinę gnie,
biegnąc łąkami, trątuje trawy pochylone.
Milcząca wieża kościoła wyrośnie nad wzgórza dniem
czerwona i strzelista w błękitie zadymionym.
Zabrzączy czasem karabin, piasek miela koła
wozów ocalałych. Głos zachrypiły woła.

Płyną czarne pola ścierniskiem żyta i pszenic,
nogi oblepia droga kurzem zroszonym i mgłą.
Człapią konie, żując pociemku zapach zieleni,
zjeżdżone deski mostu pod tupotem się gną.

Człapią końskie kopyta, nogi podbite, obtarte.
Marsz wierzchołkami wierzb znaczy swój szlak.
Kołyszą głowy senne sny o odwecie za Wartę.
Nad Odrę w dudnieniu potężnych dział
idą senne wizje. W gałęzie pada deszcz,
a w oknie domu, co ocalał w fabrycznym mieście,
głowa siwa trwa i oczy pełne łez.

Tymoteusz Karpowicz

Rys. A. Rohoziński

Złote jezioro

Z legend zachodnio-pomorskich

Za borem wysokim i czarnym, leżała łąka. Porastające do pasa trawy, ginęły jesienną, gnily, przetwarzały się na pokarm nowym wiosnom. Zostawały tylko co grubsze bańdyle, łamiące się na mrozie. Oprócz kilku drzew akacji, było tu pusto. Wzrok nie mógł wypatrzyć żadnej ścieżki. Tłukł się tu tylko niewiadomo skąd przybyły, zamknięty ścianami lasu, jak oddech w piersi — wiatr. Poza łąkami wznosiły się wzgórza. Nagie, kamiennaste, rdzawe. Nie rosły tam nawet trawy — królował jedynie fioletowy głóg. Człowiek tu nigdy nie zaglądnął — nie przedostałby się przez zapórę boru — lękiem przejęłoby go pustkowienie... Tylko czasem cienkonogi jeleni przemknął nad murawą jak olbrzymia jaskółka i zapadł w niczłębione czeluście lasu...

Za pagórkami leżało jezioro. Posiadało ono zadziwiającą barwę. Było złote. Kiedy padały na niego promienie słońca — lśniło się jak olbrzymia tarcza. Nawet tatarak i trzcina miały złote łodygi i liście. Czas upływał. Przemijał niekończący się łańcuch lat — woda promieniowała niezmiennie. Co wieczór przelatywały nad nią dzikie kaczki. Czasem zataczały koła i siadały ra falach, pośród soczystego kwiecica lilii. Niektóre z tych ptaków zagnieździły się tutaj. Odlatywały jednak często i wracały tuż przed świtem. Skąd? Nie wiadomo...

Ich powrotny lot był ciężki, wolny, wyczerpany daleką wędrowką.

Pewnego razu z za płaskowzgórza odległego od jeziora o pół godziny drogi, wylonily się dwie ludzkie postacie. Mężczyzna i kobieta... Byli młodzi, zdrowi i piękni... Z ich ruchów można było wnioskować, że są nadzwyczaj zmęczeni. Ogorzała twarz mężczyzny zalewał pot. Spojrzenie niespokojnie wybiegało naprzód. Zatrzymali się.

— Słuchaj Ludgierze. Wypuśćmy tę ostatnią kaczkę — złotonogę. Mam wrażenie,



żeśmy zbłądzili. Na noc zastawimy znów sidła w szuwarach.

— Ostatnia?... A no... leć!...

Zatrzepotał gorączkowo uwolniony ptak i pomknął ku nizinie...

— Tak! To w tamtej stronie jest gdzieś płynne złoto! Tam one maczają swe pióra. Chodźmy! Chodźmy czym prędzej...

Nie bacząc na raniące głogi i kamienie, pobiegli naprzód. Ludgier wyprzedził towarzyszkę, ominął krzak akacji, zatrzymał się nagle, rozrzucił ramiona i zakrzyknął: — Patrz! Patrz! Złote jezioro!...

Istotnie, w promieniach słońca, lyskały jasne fale. Ludgier nie czekając na młodą żonę — runął naprzód. Pierś mu rozsadzał tryumf. Ludgier był chciwy — pragnął bogactwa i oto teraz przed nim dobry los otworzył skarbiec — to tajemnicze jezioro, o którym tylko krążyły legendy. Biegł więc coraz szybciej, potykał się, upadał. Nie zwał na nic. Wreszcie dopadł brzegu. Zachłynał się uczuciem szczęścia. W szalonej radości zanurzył obie ręce w wodzie po łokcie. Cofnął. Pozostał na nich ślad złota. Ludgier zgłębł się jeszcze bardziej nad jeziorem i uderzając dłonią o fale chichotał, krzyczał...

— Ślawo! Szczęście! Patrz — szczęście! Ślawo, gdy dobiegła zadyszana, zatrzymała się również olśniona. Szeroko rozwartymi oczami patrzyła jak mąż przez palce przelewa blaski...

— Chodź! Chodź i ty zanurz dłoń... Poczuj na rękę ciężar i chłód tego skarbu. Zanim żona jego zdołała uczynić krok naprzód, by spełnić żądanie męża, stanął między nimi starzec siwobrody. Sękatym kijem zagroził drogę kobiecie.

— Ktoś ty? — oburzył się Ludgier — wyność się stąd włóczęgo i ani słówkiem nie piśnij o tym jeziorze. Słyszałeś?

— ...al mi was — pokiwał głową starzec.

Siedział długo w noc i czytał na przykład Bernanosa „Die Sonne Satans“. W całym domu cisza, bo ludzie już spali, tylko przez otwarte okno sączył się nieśmiały, zamierzający szum miasta. Zmienacka dolatywała go jakiś podejrzany szelest. Jakies drobniuchne, bardzo lekkie kroki. Cup!... cup!... cup!... Ze wszystkich stron. Jakby ogromnie małe ludek, jakby ogromnie małe duszki jeły na umówiony znak wychodzić ze szpar czy spoza starej szafy gdańskiej i teraz niewidocznie biegają tłumem we filowych pantoflach. Biegają po całym pokoju, spłoszone czy mocno zaaferowane!... Tak biegają chyba mrówki w mrowisku, gdy jakiś swawolny Dyzio zacznie patykami szturkać w ich kunsztowne domostwo. I nic. Owe duszki pobiegały, pobiegały, potem gdzieś zniknęły i znowu nastąpiła cisza, jak przedtem. Widać załatwiły swoje interesy, ujrzały się, nagadały sobie moc nowin, obejrzały go dokładnie, powyłaziły nawet na oparcie fotelu i patrzyły mu w oczy, pogrzebały ciekawie we włosieniu, wylażającym z fotelu, może się nawet poczuły na wytartym dywanie i teraz już sobie poszły.

— Dobranoc, moje duszki! — powiedział im wtedy i znowu czytał Bernanosa.

Czasem po ich odejściu otworzyły się zmienacka drzwi do jego pokoju. Wtedy podnosił się, chwilę czekał, a gdy nikt nie wychodził, zamykał je powoli. Widać jakiś starszy i większy duch przyszedł do niego i nie umiał drzwi zamknąć. Lecz cenił jego uprzejmość, bo już potem zachowywał się cichutko i nie przeszkadzał mu żadnym szelestem w czytaniu tamtej niesamowitej historii o l'Abbé Donissanie, który wierzył w szatana i zmagał się z nim, jak biblijny Jakób z Aniołem.

Właściciel domu, w którym teraz mieszkał Żegota, lubił zegary. U niego może to był jakiś uraz czy kompleks zegarowy. Tych zegarów było dużo w całym domu. Na każdym kominku, na szafach, na stolikach, wszędzie. Rzeźbione w drzewie, z kukułkami, z cesarzem Napoleonem, z bekasami, z geniuszami o ułamanym nosach lub skrzydłach, czarne i zakurzone stały milcząco. Żaden z nich nie tykał, wszystkie umarły z chwilą, gdy ich właściciel umarł. W szafie gdańskiej, na dnie leżało pudełko, a w pudełku klucze do ich naciągania. Teraz ich nikt nie naciągał, bo i po co? Trudno je zmusić do życia, a jeżeli by tak na uparte go wskrzesić w nich umarły czas, życie ich i tak będzie kulawe i niezgodne z obecnym życiem. Milczały przeto, podobne do wytwornych grobowców umarłego czasu.

Jeden taki zegar stał u niego na kominku.

Ciemna tarcza z białymi cyframi wyrzucała się z jakichś egzotycznych liści, rzeźbionych w drzewie, a w liściach siedziały dwa ptaki, podobne do przepiórek. I nic. Zegar stał i milczał. Stał tak i milczał od chwili, gdy Żegota sprowadził się do

tego mieszkania. Aż gdy raz wieczorem wrócił z miasta, i usiadł do książki, posłyszał rytmiczny szelest. Zazwyczaj stare zegary skrzypią, zardzewiałe głosy, wygrywają kuranty. Jego zegar jednak nie wydawał zardzewiałego głosu, nie wygrywał kurantów, ni jego przepiórki nie kiwały główkami i nie trzepotały skrzydłami, jak to powinien czynić każdy zegar, który przeszedł do literatury. Jego zegar spokojnie tyka. Jakby kura leciuchno gdakała. Bez przerwy. Lub jakby woda kapała z rury do fajansowej muszli. W pierwszej chwili pomyślał, że go może znowu jakiś nowy duch odwiedził. Lecz kiedy zaintrygowany

Wojciech Żukrowski

Bardzo dziwna książka

„Boską Komedią“ naszych czasów jest „Lunapark“ T. Kwiatkowskiego, groteskowy obraz zablakowanego człowieka z jego miłością, przyjaźniami, poświęceniem i tęsknotą, bunt twórczej jednostki przeciw zastanym ustrojom, państwom policyjnym, tyranii i propagandzie. Znowu ku nam powraca metafizyczna tęsknota za niebem prehistocznym, a jednak tym samym od czasu średniowiecza. Oto księga żartobliwego porachunku z materialistycznymi hasłami, które uwodzą pospólstwo zrealizowaniem raj z ziemskiego w jednym pokoleniu“.

(urywek z dyskusji nad książką T. Kwiatkowskiego „Lunapark“).

Wydana ostatnio książka Tad. Kwiatkowskiego jest wśród coraz liczniej pojawiających się debiutów, wydarzeniem niezwykłym. Uderza nie tylko śmiałością ryzykanckiej formy, językiem doprowadzonym do muzycznej precyzji, ale i niepokojącym, przewrotnym przekrojem świata i pragnień twórczej jednostki. Oczywiście zdanie z dyskusji, cytowane przeze mnie w cudzysłowie, jest wygłoszone z powagą nie mniejszą niż cała powieść Kwiatkowskiego, Ziemia w jego widzeniu, z państwami, ustrojami, kłamliwie agitującym pięknem, to olbrzymi „Lunapark“, który najpierw oszalał, a potem zmusza twórcę, każdego myślącego człowieka do analizy, do obrony swej osobowości przed natłokiem doznań estetycznych, przed przymusem szczęśliwości mieszczańskiej. System nie zostawia miejsca na własną twórczość na realizację boskiego pędu kreatorskiego, system wypełnia swoim programem wszystkie czas, nie daje, zabrania samodzielnego myślenia. Musi nastąpić konflikt między jednostką, a precyzyjnie działającą organizacją, machiną przymusowego zachwytu — Lunaparkiem.

Artysta, dla którego sztuka jest modlitwą, choć tylko potrafi stawać na rękach, nie może się nasycić rozkoszami, jakie mu wtlacza Lunapark. Nawet pospólstwo, naj-

zaczął szukać miejsca, skąd owo rytmiczne gdakanie wypływa, dotarł do zegara na kominku.

Patrzył nań urzeczony. Przecież dotychczas milczał! Nikt do niego nie wchodził podczas jego nieobecności, gdyż klucz od mieszkania miał z sobą. A tu zmienacka ocknęła się i żyje. Nawet dzwoni. Głos dzwonka był czysty, metaliczny i cichy. Dzwonił zaś różnie. Raz wybijał niezliczoną ilość godzin, potem ograniczał się do jednego uderzenia, potem znowu coś sobie przypomniał i zaczynał wyliczać jakieś pomyłone godziny. Jego tykanie w nocy było donośne.

Żegota był ciekawy, długo będzie żył.

Nie miał wcale zamiaru naciągać go lub ruszać. Niech sobie żyje i odmierzają swój cudaczny czas. Jego tykanie wypełniało ciszę w pokoju i wyplaszowało samotność. Stary zegar na kominku stał się jego przyjaciелеm.

Dziś otrzymał list od Hanki. Wciąż jeszcze buntuje się i uwielbia Jehowę. Zaniepokoił go tylko jeden szczegół. Wspominała coś niejasno, że tamci marynarze z zatopionego statku-cysterny nadal bląkają się w ciemną, burzliwą noc po zburzonym mieście i że ją wołają, gdy nad ranem schodzą do morza...



typowi mieszczenie, drobiazgowo poklasyfikowani, choć kosztują w nim łatwiej, łaskoczącej muzyki, barw i zręczności, mimo dozowanych rozkoszy, noszą w sobie tęsknotę i niedosyt. Braki i niedobór odsłaniają się niespodziewanie na dwu płaszczyznach, tłum pragnie krwi i pokarmów duchowych. Tłum ścigający bohatera powieści chce być świadkiem starcia, zakłócenia ustalonego i strzeżonego porządku, ale gdy rozgrzeje się pogonią, woła o krew i mord. Obraz drugi: ten sam tłum napierający na okna jest już gotów pożerać wszystko, pragnie, tęskni i zazdrości zachowującym odrębność artystom, przezuwa ich umysłową wyższość i bogactwo przeżyć, którego nigdy nie dadzą im budy Lunaparku. Gdy wreszcie tłum uświadomi sobie, że był oszukiwany namiastkami, wybucha buntem, bierze udział w rewolucji, czy powstaniu zakończonym katastrofą.

— Żal ci chyba tych bogactw, których staliśmy się posiadaczami. Żal ci sknero tej tajemnicy, którą nie zdołałeś ustrzec. Trzeba ci było więcej uważać na kaczki.

— Żal mi was — powtórzył siwobrody — młodzi jesteście. To nie jest waszym skarbem. Idźcie stąd póki nie jest jeszcze za późno.

— To ty uciekaj czym prędzej. W przeciwnym razie stracę cierpliwość i kark ci spróchniały ukręcę.

— Żal mi was, lecz widzę, że jesteście butni. Przyjdę wówczas, kiedy się wzbędziecie pychy — powiedział spokojnie i znikł.

— Co za wstrętny dziadyga — zacisnął Ludgier pięści — sprowadzi nam jeszcze rywali. Zło biło z jego oczu.

— Raczej dobro — zauważyła nieśmiało Sława — może zastanowimy się nad tym co on wypowiedział.

Ludgier wybuchnął namiętnie.

— Teraz, kiedy osiągnęliśmy szczyt marzeń, mamy się zastanawiać nad pustym głędzeniem? Nie Sławo! Bierzmy się jak najszybciej do roboty. Na dnie tego jeziora musi znajdować się nieprzebrana ilość złota. Im szybciej go wydzwignemy, tym prędzej staniami się szczęśliwi.

Od tej chwili małżonkowie bezustannie bobrowali po jeziorze. Tak, jego dno było całe ze szlachetnego kruszcem. Nurzając się, z nie małym trudem zdolali wydzwignąć kilka brył złota. Ludgiera ogarnął szal bogacenia się. Wątle ręce Sławy mdlały od wysiłku, słabe płuca drugo nie mogły wytrzymać pod wodą. Ludgier złościł się. Lecz góra złota rosła i rosła na brzegu. Trwało to tak parę tygodni. Któregoś wieczoru, zdążając do prowizorycznie skleconego

szalasu, małżonkowie z trwogą spojrzeli na siebie.

— Jaka ty straszna! — zatrzymał się Ludgier — jesteś jak martwy posąg. Dopiero teraz to zauważyłem.

— Ty również jesteś odpychający. Od pierwszego zanurzenia w wodzie. Przykro mi było tylko o tym wspomnieć.

— Widziałem gdzieś tu niedaleko zwykły strumyk. Musimy się natychmiast umyć.

— Oczy twoje zmieniły też barwę.

— Zdaje ci się — odrzekł zdenerwowany Ludgier — chodźmy!



Przebiegli okwieconą łąkę. Opodał tryskalo źródło. Ich ręce z drżeniem zanurzyły się w przezroczystej wodzie. Naprawdę!

— Natrzyj to piaskiem. Szoruj kamieniem! Przecie tak nie może zostać. To byłoby przekleństwem!

— Ręce już mi krwawią, Ludgierze.

— Niech krwawią, trzyj!

Niestety, nie pomagało nic. Ludgier kamieniem wprost ze zgrozy. Podbiegł do Sławy i wpil się palcami w jej ramię.

— Jakto? Ty nie miałabyś już nigdy tej zarumienionej twarzyczki, białej szyi, błękitnych oczu? Tylko... tylko wszystko... wszystko złote! Sławo! Sławo! — szarpał ją coraz silniej — Sławo odpowiedz.

Po złotym policzku nieszczęśliwej kobiety spłynęły dwie duże łzy.

— Widzisz jak się nieszczęśliwie stało. Gdybyś był wiedział...

Ludgier chwycił się za głowę.

Potopię napowrót te wszystkie skarby. Chcę tylko ciebie mieć tylko taką, jaką byłaś. Tylko taką, jaką byłaś!

W szalonych skokach pobiegł w stronę jeziora. Sława złamana ruszyła za nim.

— Żal mi was — usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się. Stał przy niej znowu siwobrody starzec. W jednej chwili zrozumiała wszystko.

— O panie — zalała rękę — ratuj!

— Was już nie mogę uratować, lecz przysze pokolenie zbawie od złotego jeziora.

Powiedziawszy to, cisnął swój kostur w fale. Wspięły się one gwałtownie, opadły, straciły blask. Od tej chwili nie już nie różniło wody tego jeziora od innych wód. Litościwy starzec zamienił również Sławę i Ludgiera na kwiaty przybrzeżnych kaczalców.

I dzisiaj kwitną one soczyste, barwniejsze niż dawniej... Tylko na odwiecznym pustkowiu wyrosło ciche miasteczko Maszewo, leżące na szlaku Starogard — Nowogard a złote jezioro nazywa się Młynskie. Nikt już nie wierzy, że w pradawnych czasach było ono złote. Legendy jednak nie powstają z niczego i ja skłonny jestem wierzyć, że jeszcze i dzisiaj są takie jeziora siedliska bogactw i nieszczęść...

Lunapark zostaje rozniesiony. Tłum, gdy raz poderwano autorytet demonicznego Dyrektora, rozbija pawilony, depcze sługosów. Dzieła załamane powstania, wszczętego w imię niezależności twórczej jednostki, dokańcza bezimienny, zawieszony i niszczyielski motłoch.

Ale na tym nie koniec. Nie próbuję streszczać fabuły, zbyt wiele wątków zawiera i tak zręczny powikłanych, że bez rażących uproszczeń, trudno by mi ją było podać. To co tu mówię, jest jedynie komentarzem i to niestety przejrzystym tylko dla tych, którzy już tę powieść przeczytali. Ostatni rozdział, wydarzenia finałowe rozlokowane są na rajskich zakątkach, dosłownie w niebie. Przewodnikiem duszy bohatera powieści, zamiast Beatrice Daniego, jest uwielbiany przez niego Szopen. Niebo rysuje im się jako Uświęcony Lunapark. Pozornie może się to wydawać bluźniercze, ale jest zgodne z teologią, oczywiście jeżeli nie zraża nas sama nomenklatura. Jednej woli podporządkowane są całe niebiosa, ta sama radość z bliskości Boga porusza pochody uwielbionych ciał. Ponieważ bohater powieści, mimo, że pragnie i kocha Boga, chciałby go wielbić na swój sposób stawianiem na rękach, chciałby Go zadziwić tą umiejętnością, w której doszedł do perfekcji, ponieważ pozostały w nim jeszcze ziemskie ambicje artystyczne, zostaje uprowadzony przez Aniołów w dół, ku ziemi.

Gdy przeczytałem, co powyżej, przełakłem się, jak pobrzmiwa niejasną filozofią i nieznośną powagą cały mój wywód. A tego właśnie w książce ani śladu. Może dlatego czyta ją się z taką przyjemnością, że zabawnymi, pełnymi ironii odwróceniami, podważa uświęcone hierarchie, wyzwała osaczoną przez tradycję obrazę, fantazję. Pokazano nam z pasją manowce ustrojowe, dziwność zastanego przez nas świata, właściwie tego, z którym się pogodziliśmy. Powieść Kwiatkowskiego jest porachunkiem z reklamującą się do obrzydliwości współczesnością, porachunkiem sięgającym aż do naszej podświadomości. Sprawy, zjawiska nam znane i pomijane w zrozumiałym automatyzmie, od przedmiotu po gest oczywisty, poczyna Kwiatkowski komentować, odwracać, u-niezwykłać, posuwa się aż do straszenia. Ale zaraz sytuację napiętą, nastrój niepokojący, wizję bliską obłędu rozładowuje śmiechem. Śmiech, błazeńska szarża, ratuje autora od pesymistycznych właściwie wniosków, pozwala mu szczęśliwie wywikłać się z problematyki nieraz drażliwej. Kwiatkowski nie tylko wykpiwa się i ucieka, nie dając recept i jasnych drogowskazów, zaciekawia, niepokoi, drażni ambicję, pobudza do samodzielnego myślenia, konfrontacji własnych doświadczeń i dyskusji. Treść tej ciekawej książki pobudza intelekt, niepokoi nowym, nieznanym typem wyobraźni.

Właściwie jest to książka podsuwająca żartobliwie genzę wszystkich ruchów rewolucyjnych, książka w której dominuje, pośród wielu zagadnień, tak pasjonujący Gombrowicza problem zależności. Środkiem do jej uzyskania, do narzucenia tej uległości, jest propaganda, przedstawiona groteskowo w natrętnie powracających katarzykach cyrkowych. Cyrk kojarzy nam się z tresurą, tresura z gwałtem zadawanym jednostce dla mechanicznego, zespolonego efektu. Gwałtem, wparciem gotowych sądów, zachwalaniem rozkoszy dostępną za drobną monetę, jest działalność propagandy, na której stoi olbrzymi Lunapark. W obronie swobód jednostki, w imię niezależności małych organizmów społecznych, drobnych zrzeszeń artystycznych, przeciw przemocy systemu policyjnego jaki stosuje dyrekcja Lunaparku, działa groteskowa konspiracja. Zawód wykonywany swobodnie cieszy i pobudza do twórczości. Te same czynności pod przymusem i nadzorem, stają się dokuczliwe i nieznośne. Kwiatkowski pokazuje nam degenerację jaką powoduje ruch podziemny, nieufność i osaczenie przez prowoka-

Tydzień Katowic

5. XII. — 31. XII.

ZYCIE LITERACKIE I NAUKOWE

14. XII. W ramach cyklu wykładów w zorganizowanym przez oddział Zw. Zaw. Literatów Studium Literackim prelekcją o współczesnych kierunkach poetyckich wygłosił Julian Przyboś.
16. XII. odbył się 12-ty (40-ty) wieczór klubu literackiego pod ogólnym tytułem: Boże Narodzenie w poezji i muzyce. Wykonawcami programu byli: Bukowski Ryszard (prelekcja), Doleżalówna Dorota (śpiew), Kański Tadeusz i Smyczyńska Maria (fortepian), Staich Tadeusz (recytacja) i Wiedera Aleksander (prelekcja).
21. XII. Odbył się trzeci z rzędu wieczór wykładów w Studium Literackim. Prelekcją pt. „Jak Mickiewicz pisał wiersze” wygłosił prof. Stanisław Pigoń.
23. XII. W sali posiedzeń MRN odbyło się uroczyste wręczenie Nagrody Literackiej miasta Katowic Wilhelmowi Szewczykowi. Po zagajeniu przewodniczący sądu konkursowego wiceprezydent miasta ob. Sobol podał motywy, którymi kierowane się przy przyznaniu nagrody. Na zakończenie uroczystości przemówił laureat, poczym wszyscy obecni wpisali się do Księgi Pamiątkowej.
28. XII. W ramach Studium Literackiego prelekcją pt. „Rodzaje stylów literackich” wygłosił Marian Promiński.

ZYCIE MUZYCZNE

13. XII. Odbył się Koncert symfoniczny Filharmonii Państwowej. Orkiestrą dyrygował Witold Krzemiński. Solistą koncertu był Stanisław Szpilowski. Program zawierał utwory: Mussorgskiego — uvertura „Świt nad rzeką Moskwą”, Chaczaturiana — koncert fortepianowy i C. Francka — Symfonia d-moll.
15. XII. Odbył się pierwszy ogólnopolski zjazd delegatów Bratnich Pomocy Państwowych Wyższych Szkół Muzycznych z Warszawy, Poznań, Łodzi, Krakowa i Katowic.
16. XII. W wystawionej przez Operę Śląską bizetowskiej „Carmen” gościnnie wystąpił Jerzy Garda wykonując partię Escamilla.
19. XII. W Państwowym Teatrze Śląskim odbyła się Katowicka premiera opery Puccini'ego „Cyganeria”. Partię tytułową śpiewała J. Lachetówna. W dalszych spektaklach partię Mimi śpiewa na zmianę z Lachetówną Wiktoria Calma.
22. XII. W ramach niedzielnego koncertu popularnego Filharmonii odbył się koncert kołodowy. Orkiestrą dyrygował Karol Rund. W koncercie wystąpił również chór męski „Echo”. Wykonano utwory: Świeżyńskiego, Moniuszki, Runda, Paderewskiego, Wallek-Walewskiego i innych.

INNE IMPREZY TEATRALNE

14. XII. Przybyły na zaproszenie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej Teatr Muzyczny wystawił operetkę Frimmla — „Rose Marie”.
14. XII. Nastąpiło otwarcie Szkoły Dramatycznej przy Państwowym Teatrze Śląskim.

Sołdździelnia Wydaw. „Książka”

Nowości

MAKARENKO ANTONI

Poemat pedagogiczny

3 tomy — z ł. 570.—

LEŚMIAN BOLE-ŁAW

Wybór poezji

z ł. 210.—

FRIDMAN F. — HOŁUJ T.

Oświećm

z ł. 300.—

„K S I A Ż K A”

Kto farbuje materiały barunikiem

„ORION”

jest zadowolony z koloru i jakości

Skladnica Fabryczna

Katowice, ul. Starowiejska 3

Nr tel. 354-64

mie był Czajkowski i Jarecki, a zwiastowała d-moll Szuberta, kwartet osnuty na tle pieśni „Śmierć i dziewczyna”. Prócz tego można było usłyszeć T-dur Dworzaka oraz szereg utworów Beethovena i Szymanowskiego.

Następna środa poświęcona była twórczości J. Kasprzowicza. W wieczorze tym oprócz prelegenta brał udział recytatorzy utworów poetyckich tego wielkiego poety.

(j. ant.)

torów, członkowie spisku, nie mogą zrealizować swych tęsknot, łamią się i zdradzają w chwili decydującej sprawę.

Nadrzędny, niebieski Lunapark, ma tę wyższość nad ziemskim, że można w nim być całkowicie szczęśliwym, ale tylko przy zgodności woli jednostki z wolą Boga. Dzieje się to na drodze dobrowolnego podporządkowania, pokory. Bóg, Niewidzialny Dyrektor, nie narzuca się, w przeciwieństwie do opartego na tyranii Lunaparku ziemskiego, którego totalniak pełen samoudręczenia i gwałtów jest szyderczą parodią.

Wielki Dyrektor zezwala na śmierć skrzypaczki, swej córki, dumny z tej decyzji. Pycha nieomyślności pozwala mu jako kompensacja za to wyrzeczenie przeciwnie naturze, żądać takich samych od podwładnych i ślepo mu oddanych Złoty Błaznów.

Nawracający motyw propagandy, którą wydrwiwa Kwiatkowski, jest wyraźnym urazem, czy odzwierciedleniem przeżyć okupacyjnych. Przeżyliśmy gwałtowny przełom, odzyskana wolność jest niespodzianym przebudzeniem z łagodnych kołysanek londyńskich. W świetle obiektywnych, historycznych skutków, wiele posunięć i ofiar ukazuje swą bezcelowość i kruchość. Przyspieszanie w nas wartościowania, podsuwanie gotowych sądów przez nową propagandę, męczy, wywołuje niepokój. Chciałoby się za Kwiatkowskim zawołać: Pozwólcie nam pomyśleć! Zapytamy się instynktu narodowego, który tkwi w naszej burzliwej krwi! Tak, jak bohater powieści szuka busoli w muzyce Szopena.

Gdyby nie Szopen, gdybyśmy za niego podstawili Albeniza, powieść Kwiatkowskiego mogłaby być doskonałym metaforycznym obrazem, któregoś państwka z nad kanału Panamskiego, walczącego o niezależność gospodarczą z potęgą przemysłową USA. Jeżeli Szopen jest tym zacieśnieniem powieści do spraw polskich i naprowadza na trop jakiejś przewrotnej wizji wojny ostatniej, okupacji, stwarza pozory roman à clef... Dyrektor Lunaparku — Hitler, Żółte Błazny — partyjniacy, wchłonienie, małe cyrki — podboje niemieckie itd. Odszyfrowywanie pozostałymi domysłem czytelników, bardziej interesujący jest dla mnie rodzaj tej twórczości i sama technika pisarska, tak odbiegająca od panoszących się dziś na naszym rynku norm najbardziej mieszczkańskich. Pociąga mnie bardzo wyznaczenie stosunku wzajemnego pisma uważającego się za rewolucyjne i postępowe, „Kuznicy” do tego typu powieści, jaką ma odwagę reprezentować Kwiatkowski. Jestem pewny, że marksiści żyjący resztkami oziębionastawieckiego mieszczańskiego optymizmu, odzegnają się na pewno od tej na prawdę rewolucyjnej i nowatorskiej prozy. Kwiatkowski nie doradza na wszyst-

kie dolegliwości społeczne — elektryfikacji, maszyn, wzmoczonej produkcji... Kwiatkowski nie doradza nic, i pomimo swego pesymizmu, pesymizmu człowieka, który widział powstawanie wielkich, rewolucyjnych ruchów, o hasłach klasowych i społecznych i oglądał w ciągu czterech wieków ich upadek, zachowuje nadzieję. Najbardziej ludzką nadzieję tę samą od średniowiecza, nadzieję w człowieka, który tworząc modli się i służy zarazem drugim.

Fantastyka Kwiatkowskiego jest niepodobna do nielicznych u nas opowiadań tego gatunku, reprezentowanych przez Szulca i Truchanowskiego, odrębna od Gombrowicza, może najbliższa Witkacego. Ale ściślej ojcostwa trudno się dopatrzeć i to muszę podnieść, jako jeszcze jeden walor tego ciekawego debiutu.

Oczywiście „Lunapark” jest książką dla inteligentnego czytelnika, która swój cały urok roztacza dopiero przy wielokrotnym czytaniu, podobnym wtajemniczeniu. Kluczem ułatwiającym wniknięcie w zwartą wizję, jak w nieznaną nam środowisko, którym rządzi inne niż fizyczne prawa, mogła by się stać scena fotografowania. Mimo introdukcji pijackiej, mającej uuprawdopodobnić zakłócenia i formowanie się odmiennego świata za oknem, na przykładzie fotografii spróbuję zanalizować typowy chwyt Kwiatkowskiego. Grupa stojąca na głowach istnieje rzeczywiście w matówce aparatu „6X9”. Autor ogranicza się do drobnego skrawka realnego, przemieszcza go na plan pierwszy, po uprzednim rozbudowaniu posuniętym aż do hiperbolizmu. Wyobraźnia jego zmierza do uplastycznienia obrazu po linii skojarzeń intelektualnych, wydzwięk uczuciowy jest raczej wtórny. Hiperbolizm prowadzi konsekwentnie do rozbudowy samej akcji. Jeżeli pasażer wagonika napowietrznej kolejki nazywa się Karpik, więc ryba, więc schwytny na haczyk księżycy i porwany w przestrzeń międzyplanetarną. Jeżeli Dyrektor cyrku zostaje zabity, to stłamszony, rozdeptany na kilim itd.

Przykładem najszerzej poprowadzonej spekulacji umysłowej jest rozdział ostatni, niebo. Jest to zarazem jedna z prób dość licznych w tej książce, przełamania konwenansów naszej wyobraźni. Jest uderzająca analogia między Kochanowskim, któremu można zarzucić, że uśmiercił żywy, rozwijający się samowolnie język polski, a zostawił nam literacki, i Dantem, który ustawił swoje dwa lejki, rozmieszczając na jednym zbawionych staruszków i dziewczę, a dołem gryzących się potępieńców, determinując na całe wieki naszą wyobraźnię o niebie.

Kwiatkowski, nie wchodząc w kolizję z teologią, opisuje nam niebo zupełnie odmiennie od tego, które znamy z literatury i malarstwa. Niebo jest einsteinowskie, skończone ale nieograniczone, ciała

uwielbione, są ciałami amebowatymi, podlegającymi deformacji zgodnie z zachciankami ich posiadaczy. Świeci chętnie przybierają formy brył geometrycznych. Tego pomysłu nie poprowadził autor do ostatecznej konsekwencji, jaką byłoby nadanie Bogu formy Wszecchojęmującej kuli, najdoskonalszej. Bóg u Kwiatkowskiego jest samą atmosferą, w której nurzają się dusze, w każdym razie daleki od staruszką ze złożoną ekierką nad głową, jakiego nam podsuwa prymityw kościelny. Czwartym wymiar przewija się przez całą powieść grozi i obiecuje zrealizowanie niespełnionych tęsknot.

U dna prozy Kwiatkowskiego jest rytm, jak słusznie zauważa w krótkim prolegnie Otwinowski. Rytm ten ukazuje się wyraźniej w postaci nawrotów kompozycyjnie muzycznych, narasta całą gamą wylizzeń czasownikowych. Te pleonazmy, refreny i nawroty są chwytami, które można stosować z niezwykłym umiarem, jeśli mają być niespodzianką. Kwiatkowski nigdzie nie dał się ponieść, nie rozpiął się, każdy jego obraz, jak i cała książka, zwarta i oszczędna jest wynikiem pracy chłodnego intelektu, który doczuje, zgodnie z planem, barwy i dźwięki.

Metaforyka też nie zmierza do sprecyzowania przedmiotu porównywanego, raczej do rozszerzenia, do zaiskrzenia pomysłami i erudycją. Np. „ton czysty jak okulary przetarte irchą i jak Calderon de la Barca”. Nawet dla czytelnika nie znajęcego poety, nazwisko to brzmi jak egzotyczne zaklęcie, a jeśli mu odzwiercienie, to miłym przypomnieniem, jakby porozumiewawcze zmruczenie oka autora do ocytanego konsumenta.

Każdy rozdział tej krótkiej powieści jest inny. Przez część środkową przewija się wzmoczony tok muzyczny, onomatopeiczne oddanie szumu, gwaru, mieniących się korowodów Lunaparkowych. Dopiero niebo, zapowiadane antyfonami, zamyka całość kompozycji, uciszeniem.

Książka ta jest uroczym fajerwerkiem dowcipu, niepokojącym i pobudzającym jak ostroga. Jako eksperyment literacki możemy ją powitać z uciechą. Gdyby jednak miała być ostatecznym osiągnięciem formalnym Kwiatkowskiego, jego drogą, mogłaby budzić zaniepokojenie, bowiem wszystko co w niej jest zachwycające przez swą jednorazowość, rozproszone jako maniera pisarska, byłoby nie do zniesienia.

Osobne omówienie należałoby poświęcić stronie graficznej książki, którą znana malarka Anna Seifert opracowała w sposób wzorowy. Zarówno okładka, wielobarwna obwolota jak i ilustracje w tekście, są doskonałym dowodem, ile znaczą ścisła współpraca autora z artystą, dopełniającym plastyczną wizją jego słowa.

Kronika kulturalna warmijsko-mazurska

SPRAWY TEATRALNE

Dnia 18 listopada 1945 r., a więc już rok temu, Teatr Miejski im. St. Jaracza rozpoczął swą pracę na polu krzewienia kultury teatralnej w Olsztynie. Od tego czasu wiele się zmieniło. Teatr ten przeżywał dni pełne wielkich osiągnięć artystycznych oraz dni przeciętności i szarych sztuki, t. zw. „kasowych”. Utwory klasyczne należące do t. zw. „wielkiego repertuaru” wymagają wysiłku ogromnego ze strony czynnika administracyjnego jak i ze strony obsady aktorskiej. W chwili obecnej nieminiejszą rolę odgrywa ten pierwszy jak i drugi czynnik. Nie mamy tu na myśli t. zw. „rentowności” teatru, gdyż ideał ten jest dla nas prawie nieosiągalny. Chodzi o coś innego. Utwory o wysokiej wartości nie będą w Olsztynie szły długo. Nie zapominajmy, że miasto to liczy tylko 42 tys. mieszkańców. Nie każdy mieszkaniec pójdzie na sztukę poważną mimo sloganów o upowszechnieniu kultury. Frekwencja w teatrach w całej Polsce maleje, natomiast w Olsztynie utrzymuje się na tym samym poziomie. Co jest tego powodem? Przede wszystkim brak innego rodzaju rozrywek kulturalnych w tym mieście. Teatr zatem musi zastąpić wszystko. I życie towarzyskie, które rozwija się słabo, i ulubione przez b. mieszkańców Warszawy odwiedzanie lokali, gdzie często gęsto były występy artystyczne, jeśli już nie dobra orkiestra. Dlatego też, żeby dogodzić publiczności, teatr olsztyński musi być wszystkim. I operetką i teatrykiem rewizyjnym i... prawdziwym teatrem.

I tak od 18 listopada idzie właśnie spektakl o charakterze operetki pt. „Podwójna buchalteria” z primadonną b. operetki lwowskiej, Rylską, na czele zespołu. W dalszym programie przewidziane jest wystawienie „Ich czworo” Zapolskiej, a następnie „Manewry miłosne”. W recenzjach prasy lokalnej zupełnie słusznie zaatakowano taki repertuar teatru olsztyńskiego. Zwrócono uwagę, że Teatr im. Jaracza pomyślany był jako placówka kulturalna, mająca w tej dziedzinie

określone i odpowiedzialne zadania. Bo wiem teatr ten jest jedynym teatrem w województwie olsztyńskim, nie licząc teatryków o charakterze amatorskim, i jego rola, dobra lub zła, wybiega poza granice Olsztyna, jak pisały „Wiadomości Mazurskie”, niedawno. Nie wolno nam wobec tego nagiąć się do żądań publiczności, lecz wprost przeciwnie, tę publiczność wychowywać. Teatrowi im. Jaracza brak na prawdę w chwili obecnej szerszych horyzontów i ambicji artystycznych. Nawet Kurnakowicz, przybyły na krótki czas do Olsztyna, nie poprawił sytuacji, grając swą rolę popisową w sztuce „Papa Nicoluzos”, ani także „Zemsta” Fredry z udziałem K. Adwentowicza również zapowiedziana. Pragniemy ujrzyć w teatrze olsztyńskim więcej rozmachu, mniej kliszy i szeptów prowincjonalnego i mniej operetki. Słusznie też podkreślono w „Wiadomościach Mazurskich”, że o ile w całym kraju pulsuje twórcza ambicja i szlachetna rywalizacja w osiąganiu coraz wyższego poziomu — w Olsztynie, niestety, wszystko wróży wyrażnie, że następuje dobrowolne cofanie się w tył, dobrowolne rezygnowanie z już osiągniętych pozycji, które ten teatr zdobył w ubiegłym sezonie. Ojcowie miasta, którzy mają wpływ na bieg wypadków, powinni zastanowić się nad tym faktem i wyciągnąć z niego takie konsekwencje, które uczyniłyby z Teatru im. Jaracza znowu pełno wartościową placówkę na ziemiach północno-wschodnich naszego państwa

(j. ant.)

RADIOSTACJA OLSZTYŃSKA

T. zw. prowincja wschodnio-pruska miała dwie stacje radiowe. Jedną w Królewcu, drugą w Licbarku Warmijskim. Budynek tej ostatniej ocalał, niestety, bez aparatury. Polskie Radio w Olsztynie zaczęło budować nową radiostację. Wystawiono maszt, wybudowano cztery studia. Dalsze prace zostały jednak wstrzymane na skutek braku kredytów. Dziwi nas takie stanowisko władz centralnych. Olsztyn winien mieć uruchomioną radio-

stację jak najprędzej. Za pośrednictwem radiostacji olsztyńskiej cała Polska winna wiedzieć, przez program lokalny o problemach ziem warmijsko-mazurskich.

(j. ant.)

TOW. TEATRU I MUZYKI LUDOWEJ W LICBARKU

W Licbarku Warmijskim, dawniej siedzibie biskupa Krasickiego, istnieje doskonały chór pod batutą Warmiaka prof. O. Krcha, którego występy na uroczystościach państwowych i narodowych wyrobiły mu doskonałą reputację. T. zw. „Chór Warmijski” z Licbarka jest niezwykle pozytywnym wkładem w szerzeniu pieśni ludowej na tym terenie.

Prócz tego działa tam zespół amatorski, który zdołał już wystawić „Zemstę” Fredry oraz „Sąd nad Latarnikiem” Hołskiego, a ostatnio widowisko teatralne pt. „Żołnierz Polski w walce o Niepodległość”. Kierownikiem zespołu jest W. Wieliczko, który wkłada w swą ukochaną placówkę wiele energii i poświęcenia.

(j. ant.)

ZYCIE MUZYCZNE

Przy ul. Nowowiejskiego w sali Towarzystwa Muzycznego w Olsztynie pod kierunkiem dyr. Dąbrowskiego rozpoczął się sezon muzyczny na skalę na prawdę poważną. Pierwszą „środę” muzyczną inaugurował skrzypek Witold Nowacki, uczeń Dubiskiego. W programie był Viex-tempis, Młynarski i Wieniawski w doskonałym wykonaniu tego wirtuoza. Niemniej cenny był występ dyr. Dąbrowskiego, tego niezwykle cennego organizatora wszystkich poczynań muzycznych na terenie Olsztyna. W jego wykonaniu Szubert, Beethoven i Mozart byli na niezwykle wysokim poziomie artystycznym.

Niemniej cennym występem był popis Poznańskiego Kwartetu Smyczkowego. Poza wyjazdami na prowincję (zespół bowiem koncertował w Ostródzie, Morągu i Licbarku). Kwartet brał udział w całym szeregu imprez muzycznych na terenie Olsztyna do audycji muzycznych dla szkół olsztyńskich włącznie. W progra-

Sprawy teatru

„Homer i Orchidea“ w Gdyni

Tę poetycką wizję dawnej Hellady — stworzoną przez młodego i uzdolnionego poetę polskiego Tadeusza Gaycy'ego w krwawych dniach młodej wojny — wytrafi Iwo Gall na otwarcie sezonu Teatru „Wybrzeże“ w Gdyni i na inaugurację publicznych występów swego młodego zespołu, a ponieważ i sztuka pierwszy raz weszła na scenę, była to prapremiera we wszechstronnym tego słowa znaczeniu.

„Homer i Orchidea“ — to ludzkie dzieje wybrańca bogów. Homer jako dziecko w chwili ciężkiej choroby, ofiarowany jest przez matkę Apollinowi, w zamian za darowanie mu życia. Apollo przyjmuje ofiarę, ale pod warunkiem, że w 21 roku życia, tzn. w dniu pełnoletności, Homer uda się do jego świątyni i odda mu się na służbę. Gdy ta chwila przychodzi, Apollo-Słoneczny wprowadza go w swój boski krąg mistyczny, ale otwierając mu oczy duchowe na świat — zwykłemu śmiertelnikowi niedostępny — zabiera mu wzrok fizyczny. Bezkarnie w blask słońca patrzeć nie wolno. Oto tragedia pełna głębokiej logiki człowieka — poety. Ale cena, którą płaci Homer za dar wieszczy, nie jest jednym tylko cierpieniem: zostaje także wygnany z rodzinnej wyspy, wraz z młodą żoną Orchideą w dzień burzy na małej łodzi, a więc niemal na śmierć skazany przez rodaków. Po 30 latach tułaczki i po wyśpiewaniu przez niego najcudowniejszych rapsodów — przybywa poselstwo z Chios do wygnanców. Brat Hippiasz, wysłany przez rodaków, wzywa ich do powrotu. Otwiera się przed nimi upragniona i wytęskniona ojczyzna, ale Orchidei nie dano już wrócić, umiera — pogrążając męża w jeszcze jedno cierpienie.

Autor ukazuje nam wieszca od strony jego człowieczeństwa.

Równoległe do historii Homera — biegnie historia Orchidei — współbohaterki dramatu. Jej tragedią jest tragedia męża, którego bezgranicznie kocha i którego cierpienia odbijają się w niej jak w zwierciadle. Poza tym rozgrywa się w jej duszy jej własny dramat religijny: Zachwianie wiary w boga niewyśpiewanego jej prośb serdecznych o odwrócenie zła od Homera, a dramat ten objawia się buntem i wytryska z jej ust bluźnierstwem. Za to pomiesie karę: sprowadza na siebie i kochanego męża wyrok wygnania, a po 30 latach tułactwa umiera, nie osiągnąwszy celu swych tęsknot.

Dualizm doskonale ząbających się ze sobą tragedii i mocno splecionych przeżyć nie wychodzi pod koniec sztuki korzystnie dla jej konstrukcji i zaciemnia obraz ostatni. Śmierć Orchidei nie może być karą na obrazę Słonecznego. 50 letnia kobieta przeżyła już swoje życie. Jeśli karą ma być niezaspokojenie tęsknoty i wrót niemal ojczyzny, wychylającej się z dali w przedśmiertelnym wizjach, to zauważyć trzeba, że ostrze i tej kary jest zbyt późnione, aby mogło być przekonujące. Może autor dał w tej ostatniej scenie wyraz własnym tęsknotom, rodzącym się w czasie bejczyznianym — ciężkiego nąjazu germańskiego, lecz i ten, zrozumiały zresztą powód, nie rozgrzesza go od wprowadzenia nowego pierwiastka emocjonalnego do sztuki, opartej o inne motywy i paczenia tym samym jednolitej konstrukcji.

Śmierć Orchidei jest jakby epilogiem, dalekim podzwonem, zakończeniem cyklu przez zgaśnięcie... śmierć. Takie ujęcie tekstu podkreślone jest przez samego reżysera wprowadzeniem na scenę niemej postaci w ciemnym welonie Ananke, albo Melei, która powoli gasi obie świece przed posązkami Apollina.

Oto co nasuwa się nieodwołalnie czujnemu i przeżywającemu dramaturgii — słuchaczowi, ale jeśli odetniemy ową 5-tą odsłonę, albo przed nią wyjdziemy z teatru — zadawałając się ostatnim obrazem śpiewającego rapsod Homera, będziemy bez przerwy kosztowali wrzusa estetycznych najwyższej klasy dzięki genialnej współpracy inscenizatora i reżysera z autorem. — Zdawałoby się, że na przekór temu, co chciał przedstawić autor: człowieczeństwo żywo wieszca — Gall wystylizował sztukę na scenie, nie zniżając jej do realizmu. Tą jednak właśnie interpretacją, doskonale przystosowaną do naszych mglistych, poetycznych wyobrażeń o dalekiej, słonecznej i pięknej Helladzie — podniósł sztukę na poziom surrealistycznej i czaru, a przenosząc realne cierpienia w ów świat przez nas czczony i podziwiany, wywołuje właśnie uczucie oczekiwane i zamierzane.

Stylizując sztukę plastycznie, Gall wkroczył niemal w dziedzinę baletu, w tym znaczeniu, że nieustannie komponuje skończony i pełny obraz na scenie.

Nie tylko obraz plastyczny jest doskonałym osiągnięciem artystycznym inscenizatora — trzeba także podkreślić wysokie walory dykcji.

Motywy muzyczne kompozycji Eugeniusza Dziewulskiego wplatają się w nurt

dramatu zawsze celowo, wzmacniając wybitnie wrzusa estetyczne np. w momencie burzy na morzu, zerwania struny w formidze przez Orchideę, wyśpiewu Homera i inne.

A wszystkie te elementy: obrazu plastycznego, dykcji, mimiki i muzyki dlatego składają się na całość tak zwartą i zespoloną, że ożywia je głębokie zrozumienie myśli autora i pełne przeżycie wewnętrzne oddających rzecz aktorów. I choć ich prawie trudno z całości wyodrębnić, tak są w nią mocno wbudowani, nie mniej dźwigają na sobie odpowiedzialność za cały poziom sztuki scenicznej i trzeba przyznać, nie zawiedli naszych oczekiwań, byli tym właśnie czegośmy się od nich w tej sztuce spodziewali. Jednym słowem byli na



Iwo Gall

swym miejscu, a to jest najwyższe uznanie.

Należałoby chyba wymienić wszystkich artystów, tak gra każdego z nich była żywa, odrębna indywidualnością, przemysłana i przeżyta, a spojona w całość sztuki.

Dekoracje doskonale zsynchronizowane ze sztuką i stylem inscenizacji, stanowiąc jej konieczne tło, były najefektowniejse chyba w odsłonie 2-giej świątyni z posagiem imponującym bóstwa. W innych odsłonach dominowały efekta biało-niebieskie odtwarzające na zawsze w naszej pamięci czy wyobraźni lazury Hellady z odcinającymi się na jego tle białymi marmurami z Pentelikonu.

Amelia Łączyńska



M. Maciejewski jako Homer

Z Opery Dolnośląskiej

Straszny Dwór Opera w 4 aktach z prologiem Stanisława Moniuszki. Słowa J. Chęcińskiego. Premiera we Wrocławiu 18. XII. 1946.

Straszny Dwór, najbardziej polska ze wszystkich oper Moniuszki, a zarazem szczytowe osiągnięcie jego twórczości, zrodziło się ze wspomnień dziecięcych kompozytora.

W Śmiełowicach, w sąsiedztwie Ubiela rodzinnej wioski Moniuszki, znajdował się stary zamek książąt Ogińskich. Tam to Moniuszko słuchał z nabożnym skupieniem kurantów starego zegara i opowieści zgrzybiałego sługi o walecznych czynach przodków właścicieli zamku.

W rodzinnym domu Moniuszki śpiewano wieczorami „Śpiewy Historyczne“ Niemcewicz. Motywy tych „Śpiewów“, a szczególnie pieśni, do których muzykę napisał Kurpiński, głęboko zapadły we wrażliwą duszę kompozytora Halki, by znaleźć odzwierciedlenie w prologu „Straszego Dworu“.

Na kanwie wspomnień Moniuszki osnuł libretto Jan Chęciński. Libretto, jak twierdzi sam kompozytor, „słabe scenicznie“, ale Moniuszko dłuższy tekstowe potrafił do tego stopnia wynagrodzić temperamentem muzycznym i błyskotliwością harmonii, że powstała opera przewyższająca popularną Halkę jednolitością stylu i jednością melodyki.

Dyr. Stanisław Drabik inscenizujący i reżyserujący „Straszny Dwór“ na scenie wrocławskiej poszedł przede wszystkim w kierunku wydobycia najistotniejszych wartości tej opery, t. j. rycerskości i tężny narodowej. Symbolem tej koncepcji było obramowanie obrazu scenicznego tkaniną zdobycznego namiotu i fragmentami uzbrojenia.

Nie odrzucając tradycyjnych założeń schematu scenicznego wniósł reżyser dużo śmiałych nowości. Wyraźnie od szablony odbiegały sceny grupowe, plastyczne, przekonujące w ruchu i ożywające (szczególnie w IV akcie) dłuższy libretta. Odstępstwem od tradycyjnych form, było też ubranie towarzyszek córek Miecznika w stroje ludowe. Jeżeli nawet było to potraktowane trudnościami kostiumowymi, to nie odbiegało od stylu epoki i dobrze podkreślało patriarchalne stosunki panujące na ówczesnych dworach. Natomiast wprowadzenie regionalnych ubiorów z różnych dzielnic polski do finału IV aktu, mimo szlachetnej tendencji, jest artystycznie nieusprawiedliwione.

Soliści opery wrocławskiej, to przeważnie młodzi, wybijający się dopiero śpiewacy.

Robert Sauk (Zbigniew), którego ujrzelśmy po raz pierwszy we Wrocławiu, zdobył sobie od razu naszą publiczność miłym brzmieniem dobrze postawionego

głosu, inteligentną frazą, niezwykle swobodną grą i nadzwyczaj ujmującą aparcją.

Marian Woźniczko, dobrze już zapowiadający się w roli Germona w Traviacie, jako Miecznik rozwinął całą skalę swego talentu. Poloneza w II akcie odśpiewał z umiarem, umiejętnie operując swym pięknym, wielkim głosem.

Władysław Szeptycki miał szczególnie trudne zadanie. Partia Stefana jest tak popularna i wykonywano ją tylu znakomitych tenorów, że niełatwo w niej zadowolić słuchacza. Mimo to Szeptycki dobrze wywiązał się ze swego zadania.

Nieskazitelne piana zareprezentowała w „dumce Jadwigi“ Hrabia-Szałkiewiczowa. Waleria Jędrzejewska nie mogła wprowadzić wykazac swych umiejętności śpiewaczych w mdłej partii Hanny, z przyjemnością jednak słuchaliśmy jej świeżego głosu, nawet w tych nielicznych odezvaniach, jakimi Moniuszko obdarzył tę rolę.

Alfred Czopek (Damazy) ma wrodzoną „vis comica“. Pozbawiony jej był niestety Maciej. Nie pomogą walory głosowe przy karykaturalnie potraktowanej postaci.

„Skołuba“ Zygmunta Bilińskiego, dobry w charakterystyce i zabawny w dobrze odśpiewanej arii „zegarowej“, Irena Kudelska wyglądała ładnie, ale niezbyt starannie odśpiewała partię Czesnikowej. Nagler-Godlewska w epizodach Marty i Starej Niewiasty wykazała dużą kulturę śpiewaczą i sceniczną.

Orkiestra, a szczególnie chóry pod dyrykcją Stefana Szyrły brzmiały pełnie i jednie. Barwnie i niestereotypowo ułożony przez Z. Patkowskiego mazur w wykonaniu Z. i K. Patkowskich, oraz kilkudziesięciu-osobowego baletu, został we wrocławskiej inscenizacji wykonany jako finał opery. Przy pozornie nieskrepowanym ruchu całego zespołu baletowego, co stwarzało wrażenie nieskoordynowania elementów, taniec ten był precyzyjnie obmyślany i swobodny technicznie. Dekoracje Jędrzejewskiego i Langego bogate i ciekawie skomponowane.

„Straszny Dwór“ w wykonaniu Opery Dolnośląskiej jest widowiskiem stojącym na poziomie godnym tak drogiego nam dzieła. Byłoby pożądane, aby to przedstawienie zobaczyły i inne miasta polskie, gdzie ciągle jeszcze panuje przekonanie, że Wrocław jest miastem nie mającym swego oblicza teatralnego. Ostatnie spektakle Teatrów Dolnośląskich i Opery Dolnośląskiej są najlepszą miarą wysiłków i osiągnięć na tym polu, a najlepszą rękomią dalszego powodzenia są widowiska wypełnione codziennie przez publiczność, rekrutującą się z najszerzych warstw społeczeństwa.

Wojciech Dzeduszycki

Glossy i notatki

O PUSTYCH BIBLIOTEKACH

Posiadamy w Polsce 1844 bibliotek powszechnych o 2.400.000 tomach. Posiadamy zatem zaledwie 19% przedwojennego stanu książek; i kiedy przed wojną średnio przypadał jeden tom na 5 mieszkańców, to obecnie jedna książka przypada na 11 mieszkańców. Wśród bibliotek powszechnych rozróżniamy biblioteki samorządowe, organizacji społecznych, zakładów przemysłowych dochodowe i inne. Zakłady przemysłowe posiadają 85 bibliotek, zawierających 40.000 tomów. Znikoma to liczba, jeśli zważymy, że n. p. przedwojenna „Nasza Czytelnia“, utrzymująca biblioteki po kopalniach śląskich, operowała pięciokrotnie wyższą liczbą książek. Ciekawe wyniki daje klasyfikacja bibliotek samorządowych, których posiadamy 372:

114 biblj. powiatowych	— 157.000 tomów
131 „ wiejsk.	— 36.000 „
127 „ miejsk.	— 864.000 „

Jakże niska jest zatem przeciętna liczba tomów bibliotek samorządowych. Gdy biblioteki miejskie „pyszną się“ jeszcze cyfrą 7 tysięcy tomów, to powiatowe mają już tylko 1370 a wiejskie osiągają zaledwie cyfrę 270 tomów przeciętnie.

Puste szafy biblioteczne w świetlicach, na wsi i mieście zapełniają się powoli. Ustawa biblioteczna dotąd nie daje jeszcze specjalnego powodu do radości. Kiedy znowu będą szafy pełne książek? Czy nastąpi to po ogólnej poprawie gospodarczej, czy też dopiero po zwycięstwie idei powszechnej oświaty? **Stc.**

SPÓR O HESSEGO

Rozwinał się maleńki spór o zeszlornego laureata literackiej nagrody Nobla: Czy Hesse jest Niemcem czy też Szwajcarem. Zajął w tej sprawie stanowisko i „Odrodzenie“, które uważa Hessego raczej za Szwajcara. Oddajmy zatem głos Niemcom i samemu Hessemu.

Wszyscy niemieccy historycy literatury od Nagiera, wychodzącego od założeń socjologicznych po hitlerowski Franza Kocha, poprzez Storcka i Mahrholza uważają zgodnie, że Hesse należy do literatury niemieckiej nie przez język, którym pisze, ale tematykę i ducha swej twórczości. Koch jeszcze podczas minionej wojny stwierdza z żalem w swojej „Geschichte deutscher Dichtung“, że Hesse wprawdzie oddał się od narodowości niemieckiej, ale jest pisarzem niemieckim, wrośniętym w ziemię niemiecką i jej losy.

„Odrodzenie“ pisze, że Hesse już w roku 1914 wyparł się na zawsze Niemiec jako swej ojczyzny. Dlaczegoż zatem, o czym „Odrodzenie“ nie wspomina, w roku 1921 bierze udział w proteście kilkudziesięciu pisarzy niemieckich, przeciwko aneksji części Górnego Śląska „prastarej ziemi niemieckiej“ przez Polskę. Literatura szwajcarska uważa Hessego jedynie za osiadłego na jej ziemi Niemca. Hesse był zresztą przez cały czas wielkim samotnikiem, nie biorąc udziału ani w szwajcarskim ani w niem. emigracyjnym ruchu literackim.

Na marginesie warto zaznaczyć, że w jednym tylko piśmie polskim zanalizowano dokładnie twórczość Hessego na tle innych kandydatów do zeszlorniej nagrody Nobla. Mianowicie Hieronim E. Michalski w „Głosie Ludu“ nr. 330 pisze o „dwuznacznym wyróżnieniu słabego pisarza niemieckiego“ stwierdzając: „Hermann Hesse jest jeszcze jednym przedstawicielem nieprzebrzmiałego, niestety, dotąd kierunku psychologizowania w literaturze, biorącego swe źródła z filozofii Bergsona, psychoanalitycznych teorii Freuda i ulubionego mistrza Hessego — Klagesa. I dalej: „Brakuje mu nowatorstwa, jakie pokazał Joyce, subtelności i wynalazczości, jakie ma Gide, tytanicy, jakie ze swoich indywidualistycznych tematów wykrzesał Conrad (który umarł, nie uzyskawszy nagrody Nobla — dop. nasze). Twórczość Hessego jest nie tylko aspołeczna, a tym samym amoralna, ale również rozkładowa.“ **wisz.**

ONOMATOPEISTYCZNA GRAFOMANIA

Tuwim zapoczątkował swoim wierszem „Śląsk śpiewa“ niebezpieczną onomatopeistyczną grafomanią na temat Śląska. Odtąd każdy, kto pisze wiersz o Śląsku, usiłuje naśladować dźwięki maszyn, świst windy, i jeszcze Bógwico. W ten sposób podaje się największą **nieprawdę** o Śląsku, gubi się człowieka, którego Tuwim zawarł w pustym choć buńczucznym „śląskie pierony!“ Skończmy z tym, panowie literaci. Jeśli nic innego nie widzicie na Śląsku, tylko tę udźwiękowaną industrializację, to źle. Zagładnijcie raczej do starych, ale jarych wierszy górniczych Niemojewskiego, który miał się dosłuchać innych dźwięków, tych z duszy. Albo posłuchajcie wiersza Pawła Kubisza, gdzie buntuje się człowiek a nie maszyna, gdzie szumi serce górnik a nie serce maszyny.

Pięknie zamknął oczy i słuchał na akademii onomatopeistycznych bzdur, ale wierzcie mi, one kłamią. I dlatego należy je tępić.

Nasunęły mi się te uwagi po przeczytaniu „wiersza“ p. t. „Zelazo i stal“ w 13 n-rze „Metalowca“, na szczęście niepodpisanego. **Brzym.**

Wśród czasopism

Tygodniki literackie przyniosły z okazji świąt Bożego Narodzenia obfitą i na ogół interesującą lekturę swoim czytelnikom. Z grona tego wyłamała się tylko „Kuznica”, która wydała na 24 grudnia numer zwyczajny, manifestując w ten sposób swoją postawę światopoglądową i stosunek do chrześcijańskiej tradycji. A taki bojkot miewa potem nieoczekiwane następstwa w literaturze w rodzaju tych, że np. w sztuce konsekwentnego aż do przesady marksisty pt. „Wielkanoc” goście dławią się przy święconym ością z ryby. Zresztą nie jestem pewien, czy redaktorzy, którzy nie chcą stwarzać pozoru respektowania świąt chrześcijańskich wydaniem specjalnego numeru, są równie konsekwentni w bojkotowaniu innego zwyczajnego świątecznego, mianowicie t. zw. przyjęć świątecznych.

Tak się jednak złożyło, że „Kuznica” wydała jednak na 24 grudnia numer, który się wyróżnia. To wyróżnienie sprawia artykuł wstępny **Jerzego Borejszy**, publicysty, który odzywa się rzadko, ale zawsze w sposób zwracający uwagę. Dotychczas obdarzał swym artykułem od czasu do czasu „Odrodzenie”, teraz widocznie przeniósł się do „Kuznicy”, co niewątpliwie wyjdzie pismu na korzyść, bo nareszcie w zakresie publicystyki będzie tam można przeczytać coś nowego a nie wiecznie te same, pisane w myśl zasady „w koło Macieju” wywody Zółkiewskiego, który nigdy nie usiłuje czytelnika przekonać, lecz zawsze podaje mu prawdę już gotową, sformułowaną na wzór prawd ewangelicznych, każąc w nie wierzyć jak w ewangelię. „Obrachunki na węzłowej stacji” Borejszy to artykuł na prawdę świąteczny. Jego wywody nie jątrzą, nie napastują, nie szarpia, jego postawa jest konsekwentna, ale nie ekskluzywna. Borejsza określa nowy typ kultury, jaki się w Polsce tworzy, i stwierdza, że nie może to być kultura środowiskowa, odrzuca koncepcję „proletkultu”. Potrzeby proletariatu polskiego muszą być włączone w kompleks potrzeb ogólnonarodowych. Proletariat nie chce sobie przywłaszczać praw wyłączności narodowej, jak to niegdyś czyniła szlachta, ale w nadchodzącej epoce chce być w narodzie warstwą przodującą, tak jak nią była szlachta a potem mieszczaństwo. Piszcie dalej Borejsza: „Powstanie w ciągu lat najbliższych nowa inteligencja, która wespół ze starymi kadrami tworzyć będzie zręby nowej kultury. Ta inteligencja musi szukać również i nadbudowy ideologicznej naszych czasów. Należy ubolewać, że dyskusje, jakże toczą się na lamach naszego czasopiśmiennictwa, powierzchownością traktowania zagadnień, ucieczką przed sprawami węzłowymi nie sprzyjają powstawaniu tej nadbudowy ideologicznej. W przeciwieństwie do pozytywizmu nie rezygnujemy z żadnych dociekań ideologicznych, z żadnych zagadnień w dziedzinie filozofii... Obustronne popisywanie się nieznanymi ideologiami przeciwnika, jakie obserwujemy w niektórych publicznych dyskusjach mię-

dzy katolicyzmem, a częścią lewicy polskiej nie może się przyczynić do kształtowania nadbudowy ideologicznej tego, „co nazywamy polską drogą przemian”; polską drogą przeobrażenia struktury kraju”.

Artykuł ten wygłoszony był przez autora jako odczyt inauguracyjny Wieczorów Zachodnich organizowanych przez Instytut Śląski we Wrocławiu. Kończy go Borejsza ciekawą przepowiednią: „Jestem głęboko przekonany, że kolebka (tworzącego się nowego typu kultury) będzie ośrodek wrocławski, gdzie w najczystszej formie powstaje nowy typ gospodarki polskiej, gdzie społeczeństwo zrozumiało i przełamało rozbicie w sporach z ideologią dnia wczorajszego, gdzie pracownicy kultury wyzwolili się z przestarzałych nawarstwień i pewnych filisterskich narowów innych ośrodków kulturalnych w Polsce”.

W ostatnim zeszytowanym numerze „Kuznicy” na dzień 31. XII. również zwraca uwagę artykuł wstępny pióra **Jana Kotta**, „Dzieje Anny”. Kott charakteryzuje położenie młodzieży polskiej, która bezpośrednio ze szkół średnich weszła w okres wojny i konspiracji oraz wskazuje, jak stało się, iż część tej młodzieży pozostała w podziemiu po roku 1945. Stwierdza, że wśród młodzieży konspiracyjnej nie ma zbrodniarzy, że są ludzie obalaczeni i oszukani. Wszystko to naprowadza Kotta na wniosek, że należy raz jeszcze dać możliwość ujawnienia się tej części młodzieży, która pozostając w podziemiu nie zatraciła uczciwości i pragnie zaprzestać walki przeciwko Polsce.

Ton i sens artykułu Kotta dziwnie kłóci się z harcami polemistów „Kuznicy” na ostatniej stronie, gdzie pod adresem Jana Nepomucena Millera pisze się m. in.: „Droga do PSL jest otwarta, prosimy panie Miller! Trzy czwarte tej drogi już pan uszedł... Albo — z racji recenzji Stefana Lichańskiego z tomu poezji Seweryna Polaka, recenzji, która nie wykazała wymaganego przez „Kuznicę” dla członka swego zespołu entuzjazmu, krytyk ten zmieszany został z błotem i wysłany pod tym samym adresem, co Miller. Dziwnie to wszystko niepoważne. „Kuznica” zaczyna się stawać coraz wyraźniej rozsądkiem dziwnych metod w wystąpieniach literackich, stosując systematycznie metodę wynoszenia pod niebiosa swoich przyjaciół politycznych, członków swojego zespołu i ich żon przy równoczesnym wręcz nieprzyzwoitym krzywdzeniu w ocenach ludzi z ich obozem niezwiązanych. Czy tak się realizuje głoszone przez Zółkiewskiego ideały kulturalne marksizmu?”

Nr. 50/51 „WSI” wskazuje, że redaktor tego tygodnika ma zamiar wznówić zwyczaj stałego pisywania nieciekawych artykułów wstępnych, ale w całości jest interesujący, chociaż materiał jest dosyć skąpy, bo zawarty w kilku potężnych rozmiarach artykułach czasem zupełnie niewspółmiernych objętością do ważkości treści. Poza opracowaniem ankiety „Jakiej powieści chce dzisiaj wieść” na uwagę zasługuje portret literacki zmarłego rok temu doskonałego poety Stanisława Ciesielczuka pióra Adama Szczerbowski, interesująca i w wielu ujęciach trafna recenzja Stefana Lichańskiego z książki Żukrowskiego „Z kraju milczenia” oraz zbyt obszerne wywody Zygmunta Kałużyńskiego o schillerowskiej inscenizacji „Krakowiaków i górali”.

Świąteczny numer „ODRODZENIA” nie wyróżnia się niczym specjalnym z długiego szeregu numerów normalnych, szarych i trochę anemicznych, poza naturalnie objętością. Materiał zawiera dużo, jest to materiał poważny i solidny, ale dziwnie mało pociągający. Mam wrażenie, że wielu ludzi raczej przegląda „Odrodzenie”, niż je czyta. Pismo to przypomina mi „Pion”, którego nigdy nie czytało się od deski do deski.

„TYGODNIK POWSZECHNY” potraktował numer świąteczny zbyt okolicznościowo, ale ma również i pozycje interesujące. Do nich należy artykuł Wacława Borowego, wskazujący na możliwości rehabilitacji ks. Baki dzięki zapomnianemu odkryciu Stan. Estreicherera z 1936 r., do rzadkich bardzo ciekawostek należy publikacja przez Stan. Pigionia nieznanego krótkiego autografu Słowackiego. Jerzy Waldorf w artykule „Ziemia tragiczna” pisze o zniszczeniach zabytków kultury i sztuki na ziemiach Śląska i Pomorza. Artykuł zawiera liczne ilustracje, przepojony jest głęboką troską o los tych zabytków a w konkluzji zwraca się z apelem do władz, by część z nich przetrwała, jeśli nie na odbudowę to przynajmniej na konserwację i zabezpieczenie tych zabytków, które dadzą się jeszcze uratować.

Poza podwójnym numerem „ARKONY”, który warto omówić osobno, z Pomorza z okazji świąt otrzymaliśmy wznawioną „ZRZESZ KASZEBSKA”, która została zawieszona przed kilku tygodniami. Pismu temu stawiano nie zawsze słusznie zarzuty o szerzenie separatyzmu kaszubskiego.

Co robią Niemcy

W dziedzinie polskiego niemoznawstwa mamy do zanotowania dwie nowe pozycje książkowe, wydane przez czujne i ruchliwe Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu. Wydawnictwo to rozpoczęło wydawać cykl „Świat o Niemczech i Niemcach”, którego pierwszym zeszyt, wydany w tych dniach nosi tytuł „Tęsknota za mieczem” (Poznań 1946, stron 77).

Wspomniany cykl jest wynikiem uchwały Pierwszego Zachodniego Kongresu Dziennikarzy, odbytego w dniach 16 i 17 marca 1946 w Poznaniu, domagającej się pilnej obserwacji zagadnienia niemieckiego i jej pogłębiania. „Tęsknota za mieczem” zawiera materiały, złożone z głosów prasy światowej z ostatnich kilku miesięcy na temat Niemiec współczesnych. Wydawnictwo apeluje do czytelnika, by z tej mozaiki głosów umiał zbudować własny obraz Niemiec, obraz najbardziej, o ile to możliwe, zbliżony do prawdy. Ten pierwszy serwis, aczkolwiek ze wszechmiar ciekawy, zawodzi jednak pod tym względem. Redakcja pragnęła nam pokazać kolejno, jaki jest stosunek poszczególnych zwycięskich narodów do Niemiec. W serii doskonałe dobranych wycinków z prasy światowej udało jej się ten cel osiągnąć. Szkoda oczywiście, że brakuje tu szczególnie markantnych wycinków z prasy polskiej, aby w tym koncercie światowym pokazany był także i nasz głos. Sądzę, że znalazło by się parę ciekawych głosów prasy polskiej na temat Niemiec, odbiegających w zasadzie od obcych. Takie uzupełnienie też ułatwiło by czytelnikowi „zdrowe wycucie interesów naszego własnego państwa i narodu”, czego pragnie wydawnictwo. Jak fałszywie bowiem to zdrowe wycucie się objawia, o tym świadczą niektóre polemiki z rewelacyjnymi „Sprawami Polaków” Osmańczyka, ogłaszanymi niedawno w „Przekroju” a wydanymi ostatnio w osobnej książce. W każdym razie, jeśli tego redakcja nie uczyniła w pierwszym zeszycie, sądząc, że dobrze by było, by jeden z następnych zeszytów poświęcił wyłącznie powojennym wypowiedziom polskim o sprawie niemieckiej, zwłaszcza, że obok ślepoty i śmieszności w wielkiej polityce zaciętrzewienia nie brak tu głosów nowatorskich, jak wskazuje chociażby przykład Osmańczyka.

Przyznam się jednak, że ten pierwszy zeszyt serii pod takim samym tytułem wyobrażałem sobie nieco inaczej. Moim zdaniem należało dopuścić do głosu jak najobszerniej samych Niemców. Cenzura w Niemczech jest dość łagodna i prasa niemiecka podaje często arcyciekawe artykuły o stosunku współczesnych Niemców do ich niedawnej przeszłości, do innych narodów, do przeszłości. Tęsknota za mieczem przewija się przez te wszystkie wyznania grubym ścięgiem i w ten sposób powstaje autentyczny obraz duszy niemieckiej, taki sam jaki na okładce omawianej broszury namalował dowcipny Al. Krakowski: Lekkarz, noszący norymberskie okulary Hansa Franka, pokazuje zdjęcie roentgenologiczne szerokoszczękowego Niemca i na czarnym tle serca ukazują się foremna, fabryczna, standardowa swastyka.

O tym, co myślą Niemcy, dowiadujemy się w omawianej broszurze z dłuższego cytatu brytyjskiego pisma niezależnego „The Fortnightly”. Cytat ten za mało omawia jeszcze imponderabilii, w których zawiera się istotna treść procesu myślowego Niemców. Na syntezę bowiem jest za wcześnie, na syntezę o narodzie, który wciąż jeszcze żyje w gorączce.

Na szczęście moc imponderabilii znajdziemy w drugiej książce Wydawnictwa Zachodniego. Autor ukrywający się pod mianem Peregrinus napisał nadzwyczaj przyjemną w czytaniu książkę „Miasta niemieckie dzisiaj” (Poznań 1946, stron 99). Odbywamy tutaj wędrówkę po wszystkich czterech strefach, odwiedzając największe lub najcharakterystyczniejsze ich miasta. Przynać trzeba, że autor w istocie uchwycił najciekawsze i najważniejsze elementy życia, odbudowy i planowania w dzisiejszych miastach niemieckich. Berlin żyje prawie tak, jak by nic się nie stało — pisze autor. Baden-Baden nazywa miastem, które zrobiło karierę — w Stuttgartzie znów odrodziła się romantyczna metropolia Wirtembergii. I tak dalej, już z tytułów poszczególnych rozdziałów dowiadujemy się rzeczy najistotniejszych.

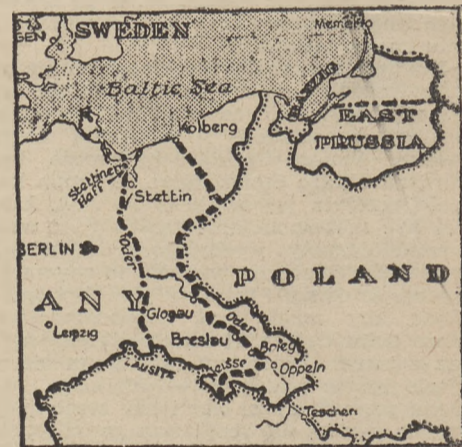
Cała książka jest pozycją niezwykle wartościową w naszej skromnej literaturze niemoznawczej. Wartość jej nie jest bynajmniej przemijająca, choć ma charakter reportażowy i to w dodatku oddający

stan sprzed kilku miesięcy. Wartość jej polega na umiejętnym pokazaniu nieśmiertelnych niejako cech miejskiego życia niemieckiego, powtarzających się niezmiennie tak samo, niezależnie od warunków politycznych. Dowiadujemy się o losach gospodarce ekspansji niemieckiej („Dessauske Towarzystwo Odbudowy” i pierwsze powojenne targi lipskie), o życiu kulturalnym i naukowym (Drezno, Weimar, Getynga, Tybinga), o losach ludzi (np. ciekawa historia o Fryderyku Bischofie, wybitnym poecie śląskim, byłym intendentem radia wrocławskiego, wykazującym w swej twórczości literackiej całkowitą zgodę z hitleryzmem a mimo to sprawującym dziś artystyczne kierownictwo rozgłośni radiowej w Baden-Baden), o zmianach, jakie musiały zająć w charakterze poszczególnych miast (niema już dolce far niente we Wiesbaden, — Norymberga symbol nowego świata — ale pomimo to, jak stwierdza autor, dla Norymberczyków ich miasto jest wciąż tylko jeszcze dawną Mekką hitleryzmu). Słowem cała książka w lekkim niepozobawionym dowcipu opowiada nas po miastach dzisiejszych Niemiec i choć Wydawnictwo zastrzega się, że nie zamierza ona dać jakiegoś ich baedekerowskiego obrazu, to dla niejednego polskiego czytelnika będzie ona wymiślnym lekkim współczesnym Baedekerem. Także po jej lekturze można się będzie odwołać do zdrowego „wycucia interesów naszego własnego państwa i narodu”, ponad to opis ten, jeśli chodzi o odbudowę gospodarczą, stanowi dla nas doskonałą materiały porównawczy o wartości niezwykle dydaktycznej.

Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu dało nam w obu książkach pozycje ważne i ciekawe, bez których niemoznawstwo polskie nie mogło się obejść. Spodziewamy się, że sympatyczna redakcja Wydawnictwa, trzymająca straż nie tylko nad Odrą, ale także nad Łabą i nad Renem, po tej uciążliwej drodze wydawniczej kroczyć będzie dalej, czego jej życzy w Nowym Roku

wisz.

The New York Times.



Oto mapka podana przez dziennik nowojorski. Znajduje się na niej projekt nowej granicy polsko-niemieckiej, do czego dążą politycy niemieccy i część polityków anglosaskich. Projekt ten chciał by oderwać od Polski Szczecin, przepłocić Kolobrzeg, oderwać całą Ziemię Lubuską, sam Wrocław nawet — (co do którego to miasta, jak podaje dziennik, wahają się nawet najreakcyjniejsi politycy anglosascy, czy je „oderwać od Polski”, gdyż „niema w nim już Niemców i za dużo tu już znać pracy polskiej”), a dalej Brzeg i cały Śląsk Dolny na lewo od Nysy kłodzkiej. Słusznie zaznacza dziennik nowojorski, że „taka rewizja granicy uczyniła by Odrę rzeką niemiecką, tę rzekę, która jest tak niezmiernie potrzebna Polsce, aby węgiel kopalni śląskich płynął spokojnie ku morzu”. Jest pewnym także — podaje dalej dziennik — że Polacy mocno by się temu przeciwstawili, ale bez sowieckiej pomocy protesty polskie mało by znaczyły.

Podczas gdy w głowach nienawistnych Polsce polityków legnie się projekt zamachu na całość granic Polski, w Polsce i na jej Ziemiach Odzyskanych ludzie pracują i wierzą w przyszłość, którą wykuwają sobie sami. W przyszłość szczęśliwą. (sz)

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. -- Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drakera nr 9 Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice: 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik” R 23218

Miłośnikom książek

polecamy

NOWOŚĆ NOWOŚĆ



Wydanie specjalne na czerpanym papierze, z drzeworytami prof. St. Jakubowskiego, z kolorową okładką K. Mroszczaka. Forma albumowa, oprawa kartonowa.

Wydawnictwo M. Kowalski, Katowice, ul. Pierackiego 4.

Do nabycia w księgarniach.